

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać —
owiń mnie w pa-
pier!
- II. Nie dotykaj mnie brud-
nymi rękami!
- III. Nie czytaj mnie przy
jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy
odwracaniu kartek!
- V. Nie rnij kartek i nie
zaginaj rogów!
- VI. Nie przeginaj mnie przy
czytaniu!
- VII. Nie kładź mnie rozła-
maną, grzbietem do
góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie
w domu na miejscu
nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żad-
nych znaków, do-
pisków!
- X. Nie wrywaj i nie
niszcz obrazków i
kartek!

MICHAŁ ROLLE

RZEMIENNYM DYSZLEM

[o Kemię Pololski]



VII-mio klas. Publ. Szkoła Francz.

Nr. 3

W GNIĘZNE

Nr. *B. W. M.*

WE LWOWIE

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA IM. P. SKARGI

Kamińska Maria

H II 96 11

325313
I

K-73/10327
25.7 30,-



Z drukarni przy Zakł. nar. i Ossolińskich we Lwowie
pod zarządem Bronisława Korneckiego.
1914

Twierdza, którą „Bóg zbudował,“ mimo sto lat z okładem trwającej gospodarki krótkowidzów-bużymurków, wznosi się i dzisiaj jeszcze na stromych skałach nad cichym, sennym Smotryczem, w pełni powagi i majestatu.

Pod uderzeniami kilofów padały z głuchym jękiem mury obronne, znikały forteczne bramy, by ustąpić miejsca — ze względów komunikacyjnych — nowszym urządzeniom; nowi władcy zacierali z niesłabnącym ani na chwilę animuszem, ślady prastarej, odmiennej kultury; na fundowane przez hojnych a pobożnych zarazem naszych przodków świątynie katolickie, nasadzano baniaste cybule wschodniego stylu; kaplice zakonne zamieniano na sale klubowe lub składy — a jednak Kamieniec nie stracił nic ze swego uroku; dzisiaj — jak ongi — przykuwa do siebie na żywot cały, a przelotnym ptakom, goszczącym jeno chwilowo w omszałych jego murach, umiła potem niejedną szarą godzinę — — — niezapomnianem wspomnieniem.

Powaga wieków i urok przedziwny — to cechy znamienne kresowego grodu. Przedmurze

przesławnej Rzeczypospolitej, o którego kamienne piersi kruszyły się tylokrotnie nieprzejrzane armie nieprzyjacielskie; owo „oko w głowie“ królów i sejmów, radzących nieraz nad ulepszeniem jego środków obronnych lub nad nagrodą dla ofiarnych mieszczan trzech nacyj: polskiej, ormiańskiej i ruskiej, straciło na znaczeniu z chwilą wyrowadzenia na linię bojową olbrzymich dział oblężniczych, podkopów i min. Zanim jednak nastąpił ów przewrót w sztuce wojennej, mogło ze spokojem spoglądać na wysiłki najezdców, wypatrując jeno niecierpliwie odsieczy, skoro w twierdzy brakować poczynąło środków spożywczych.

Ileż to razy w ciągu minionych stuleci, gdy ogniste łuny, świecące po nocach, zwiastowały nowy najazd, a ludność okoliczna z życiem jeno zbiegała w mury Kamieńca, był on świadkiem wielkopomnych chwil dziejowych; ile złożył dowodów nadludzkiego męstwa i ofiarności, bohaterstwa i poświęcenia, zaparcia się siebie i gorącego umiłowania Ojczyzny.

Ilu rozgłośnych z czasem w Rzeczypospolitej mężów, tutaj, w zakątku nad Smotryczem, zdobywało pierwsze, mijające często bez rozgłosu, laury w służbie rycerskiej i obywatelskiej. Ile razy dzwony licznych ongi świątyń kamienieckich biły na trwogę, a po krwawych dniach pożogi, zawieruchy i zmagañ się garstki najczęściej rycerzyków kresowych z zalewem bisurmańskim czy kozackim — słały

w bezkresne stępy wieść radosną o nowem, jeszcze jednym chlubnem zwycięstwie! Obijała się ona po przez Lwów gdzieś hen o mury Krakowa czy Warszawy, dosięgała aż do Rzymu, gdzie papież, poczynając od Mikołaja V., przeznaczają część świętopietrza na podtrzymanie owego „przedmuru chrześcijaństwa“.

Jak barwne i ciekawe musiało być tutaj życie, owe drobne a nieuniknione starcia i nieporozumienia „trzech narodów“, w murach kamieniczych stłoczonych; jakie interesujące narady i sądy, odprawowane zawsze z należyłą powagą i skupieniem. Jak oryginalnie uwypuklać się musiała polska kultura na wschodniem podłożu, przeniesionem nad Smotrycz przez sprytnych, obrotnych i zapobiegliwych Ormian wprost z Eczmiadzinu.

Spokojne obrazki codziennego, powszedniego żywota przewijają się, jak w kalejdoskopie, na przemianę ze scenami odmiennego rodzaju, kiedy to zjeżdżał na wschodnie kresy rozległego państwa monarcha miłościwy i wspaniałomyślny, nowy pasterz dyecezyi, lub kiedy wkraczające przez obronne bramy rycerstwo, witały gdzieś z poza firankami osłonięnych szybek okien, trwożliwe i ciekawe a pożądlive zarazem spojrzenia cór mieszczańskich, nierzadko tak urodziwych, że potomek „dobrze urodzonych“ karmazynów zapominał o wszczępianych mu od kolebki przykazaniach o szabli i łokciu, i uczyniwszy popędowi

serca zadosyc, prowadził na ślubny kobierzec dziewoję bezherbową a nadszarpaną w służbie Rzeczypospolitej kaletę, nabijał obficie posagiem, wypłacanym przez hojnego kupca ormiańskiego.

Wprawdzie młódź miejscowa krzywem patrzyła okiem na tego rodzaju „obcych“ amatorów tłustego mieszczańskiego połcia, układając nawet złośliwe piosenki, wyśpiewywane pod oknami pańieńskiej świetlicy, nikt jednak tego rodzaju wybryków nie brał zbyt poważnie, a jeśli one przypadkiem wkraczać poczynały na niedozwolone tory, rycerzyk podkręcał z animuszem wąsa, uderzał w głowicę szabli, co zwykle pożądanym wywierało skutek — i uwoził gorąco umiłowaną panię swojego szlacheckiego serca pod strzechę wiejską, by tam — za przykładem ojców i dziadków — snuć dalej dzieje mniej lub więcej zasłużonego dla Rzeczypospolitej rodu.

Zbłąkany na kresy mistrz malarskiego kunsztu wykonywał konterfekt nowej rotmistrzowej lub podstoliny; młodsze pokolenie pojawiało się z typowo wschodnimi oczami i oliwkową cerą a charakterystycznymi wielce nosami; skrzętny heraldyk notował, z przekazem nieraz, fakt pomieszania się krwi słowiańskiej z ormiańską...

Bo też Ormianie najłatwiej wstępowali w związki z ziemiaństwem kresowem. Dobiwszy się sporych fortun łokciem i kwaterką, marzyli w skrytości ducha o wydostaniu się na wyższy szczebel

w hierarchii społecznej, spryt zaś, czar oryginalnej urody wschodniej niewiast ormiańskich, a przede wszystkim worki pełne dukatów, działały cuda, tworzyły pomost, który zbliżał i łączył dwa stany.

Zamieniwszy łokieć na pług, okazali się przybysze ze Wschodu doskonałymi administratorami majątków ziemskich; zmysł praktyczny, rachunkowość i pomysłowość przenieśli na teren, na którym one dotychczas pojawiały się dosyć rzadko, grosz więc dalej lgnął do grosza a równocześnie wzrastały estyma i zachowanie wśród ziemian-sąsiadów. Że przytem przybraną Ojczyznę swoją miłowali sercem całym, bez zastrzeżeń, czego niejednokrotnie w Kamieńcu jeszcze składali dowody, chętnie zapominano im parweniuszowskie ich pochodzenie, łokieć i kwaterkę, i obdarzano wyborowemi godnościami obywatelskiemi.

Dzieje to jednak znacznie późniejsze, które jedynie dla pełności obrazu podkreślić już tutaj należało. Zanim do nich z kolei przejdziemy, godziwa rzecz bodaj najpobieżniej wspomnieć, jak to *in illo tempore* bywało.

* * *

Bywało rozmaicie...

Nie tu miejsce spierać się, kiedy o Kamieńcu pierwsze w starych kronikach znajdujemy wzmianki. Mogli mieć rację i ci, którzy kolebkę jego przesuwać w bardzo odległe stulecia; słuszność rów-

nież można przyznać i tym, co bez pardonu przekreślają legendarne poniekąd dzieje rozgłośnej z czasem w świecie, obronnej placówki, rozpoczynając jej chlubną historię od faktów realnych, opartych na dokumentach, nie podlegających zakwestyonowaniu.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że okolica pokryta dziewiczym niegdyś lasem, że niedostępna, rzeką oblana skała, nęcić musiała ludzi swawolnych i przedsiębiorczych, którzy tutaj rozbijali swe szałas, pewni bezkarności i schronienia w razie pogoni lub odwiedzin nieproszonych gości.

Jak oni skałę tę nazwali i kiedy to nastąpiło? Czy jako fakt przyjąć należy istnienie Petridawy? — rzecz obojętna. Od połowy XIV. stulecia istnieje już Kamieniec, rozpoczynają się dzieje jego, jak rzadko którego grodu barwne i bogate.

Bo też nie byle z kim mamy do czynienia.

W połowie XIV. wieku Podole staje się lennem Polski i wiąże losy swe z losami Rzeczypospolitej na kilka długich, bogatych w momenty dziejowe pierwszorzędnego znaczenia, stuleci. Koryatowicze litewscy, zdobywszy je, fundują twierdzę i miasto Kamieniec. Pod sam koniec wspomnianego już wyżej wieku namiestnik Jagiełły na Litwie — Witold, bierze do niewoli ks. Teodora Koryatowicza. Z kolei otrzymuje Podole w lenno rozgłośnego imienia Spytko z Melsztyna, po którego tragicznej śmierci nad Worskłą, dostaje się

ziemia omawiana ks. Swidrygielle. Po ucieczce tego księcia do krzyżaków i stłumieniu wybuchłego buntu, przechodzi Podole pod zarząd starostów.

Kolonizacja polska wzrasta tu z rokiem każdym; pod troskliwym okiem królów potężnie handel, skupiony niemal wyłącznie w rękach napływających ze Wschodu coraz liczniej Ormian. Sąsiedztwo z Turkami i Tatarami wytwarza wyjątkowe warunki, dzięki którym Kamieniec przekształca się w pierwszorzędną twierdzą.

Władysław Jagiełło gościł w jej murach czterokrotnie: w latach 1404, 1410, 1411 i 1417; Kazimierz Jagiellończyk bawił tutaj dwa razy: 1448 i 1460 roku.

Pod koniec piętnastego stulecia notują kroniki pierwsze zagony tatarskie. Ludność wiejska, z trudem niemalym kolonizowana na bezkresnych zda się pustkach, padała ofiarą tych najazdów. Bliżej obronnych grodów osiedleni szukali ratunku w ich murach, nieliczne gromadki kryły się w lasach i pieczarach skalnych, reszta szła na nędzę i poniewierkę w jasyr.

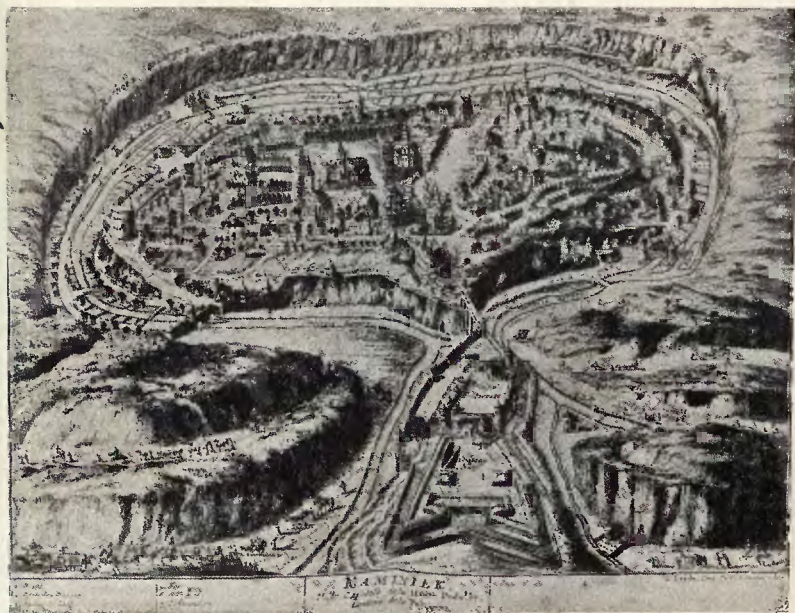
Bogaty to materiał dla malarzy, poetów i belletrystów, rodzima też nasza sztuka i literatura piękna, niejednokrotnie sięgały do owej niewyczerpanej skarbnicy. Podania i legendy, związane z wspomnianymi jaskiniami i pieczarami, dziś jeszcze żyją w pośród miejscowego ludu,

choć czasy i stosunki tak olbrzymim uległy zmianom.

Pełno jaskiń tego rodzaju, pieczar i kryjówek znajdujemy nad stromymi brzegami Smotrycza i Dniestru; do ciekawszych należą: obok cerkiewki ladawskiej w powiecie mohylowskim; obok Studennicy; w Mukszy opodal Kamieńca; w Bakocie, prastarej stolicy Ponizia i w Załuczu. Ostatnia posiada także swoją historję, zapisaną w wizytach kościelnych, z właściwą im prostotą i skromnością. Zbliżona do dziejów innych pieczar podolskich, jako typowy przykład godna powtórzenia.

Lud tutejszy — zapisuje ksiądz proboszcz z Czercza — schronił się w czasie zagonu tatarskiego w pieczarze załuckiej. Dziewczyna, zbiegająca z grotty do rzeki po wodę, wydała mimowoli schronienie; rabusie nie mogąc dostać się do jego wnętrza, zatarasowali otwór jaskini palnym materiałem, rozniecili ogień i wydusili zebranych w pieczarze ludzi. Odtąd kościół w dni krzyżowe odbywa procesye do tego miejsca.

Dziejopis Podola, dr. Antoni Józef Rolle dodaje od siebie, że OO. Jezuici, dawniejsi posiadacze Załucza, wysyłali raz w rok kapłana, który u wnijsćcia do podziemia odprawiał Mszę św. za dusze zmarłych. Z kolei przeszedł obowiązek ten na prawosławnego parocha załuckiego, w każdym więc pokoleniu odnawia się pamięć owych przejść krwawych a przy wieczornych łu-



VII-mio klas. Publ. Szkoła Powsz.

Nr. 3
W GMIĘZNI

Nr.

Plan Kamieńca Pod. z r. 1672

czywach bujna fantazyja kmieci miejscowych snuje
wiecznie żywą nić legendy.

Zakuł ją we wdzięczne rymy Maurycy Gosławski, który w sąsiednim Nihinie właśnie spędzał lata swego dzieciństwa:

„.....w niedzielę, o południu trzy dziewczęta młode,
Zbiegły na dół z dzbankami, do rzeki po wodę;
Była to piękna Zosia w tej weselnej szacie,
W tym samym ślubnym wieńcu, jak ją pamiętacie;
Bo do czasu powrotu swego ulubieńca,
Przysięgła nie zdjąć z głowy weselnego wieńca.
Wpatrzyła tędy oko, gdzie przed sześciami dniami,
Westchnieniem go bolesnem żegnała i łzami;
I tak długo patrzyła na tę stronę drogą,
Jakby tam w rzeczy samej zobaczyła kogo.
— Basiu, czy przywidzenie? lecz patrz, tam daleko,
Pędzą czterej rycerze końmi ponad rzeką.
To samo wzrok Nastusi, to stwierdził i Basi,
Krzyknęły uniesione: — To nasi, to nasi
Przecież Bóg ich nam wrócił, dzięki Jemu, dzięki!
Lecz jakże radość nagle zmieniła się w jęki,
Których echem krzyknęły okoliczne wzgórki,
— Przez Boga, uciekajmy, to Turki, to Turki!“

Rzewne podanie ludowe utrzymuje, że panna
młoda w pośpiechu zgubiła wianek spleciony
z barwinku. Wiele w tych słowach tkwi prawdy —
Bóg wiedzieć raczy. To pewne tylko, że u otworu,
prowadzącego do pieczary, do dziś dziki barwi-
nek porasta.

I jakże tu hamować skrzydła fantazyji!

Ale wracajmy do dalszego ciągu dziejów

Kamieńca: Hospodar wołoski, Bohdan trzymał 1509 r. twierdzę w oblężeniu, póki jej nie przybył z pomocą hetman wielki koronny, Mikołaj Kamieniecki. W r. 1528. Tatarów wypłoszyli z zakątką nad Śmotryczem rotmistrze kresowi, Jazłowiecki i Skrzycki.

Wiek siedemnasty najdotkliwiej dał się odczuć „przedmurzu chrześcijaństwa“. W roku 1621. kusił się o jego zdobycie sułtan Osman. Oblężenie było niezwykle krótkie, zaledwie kilkugodzinne; miasto po niedawnym pożarze przedstawiało obraz okropnego zniszczenia; wszystkie przedniejsze jego budynki leżały w gruzach, do ruin więc dodając ruinę, Osman polecił kilkadziesiąt bomb rzucić na Kamieniec, a słowa najezdcy, wypowiedziane przezeń na widok twierdzy, zapisał Wacław Potocki w poemacie „Wojna Chocimska“:

„Kto kował te kamienie? kto skały obrywał?
Bóg! — rzeką — słuszna, żeby i On je zdobywał“.

Po wiktoryi chocimskiej zawitał w mury sławnego już na obszarach Rzeczypospolitej grodu, królewicz Władysław; całe duchowieństwo w strojach pontyfikalnych — głosi pamiętnik J. Sobieskiego w przekładzie Syrokomli — i rycerstwo bohaterskie, mające na czele królewskiego syna, zebrane w katedrze, dziękowało Panu za odniesioną przewagę nad nieprzyjacielem.

Po modłach radości modlitwa smutku na-

stąpiła, trzeba było oddać ostatnią poległym w boju posługę!

Skromna dębowa trumna zawierała zwłoki przywódcy wyprawy — Chodkiewicza. Osiwiały w bojach, przetrwał na wylomie i sędziwą głowę złożył w obozie; ciało jego spoczęło w katakumbach kościoła katedralnego czasowo, później je rodzina zabrała do grobów rodzinnych w Ostrogu.

Było i innych konduktów nie mało, między nimi wyróżniał się szczególnie smutny pogrzebowy orszak, zawierający zwłoki Jana Lipskiego, rotmistrza usarskiej chorągwi; całun trzymało czterech towarzyszy pancernych; byli to synowie zmarłego, razem z nim pełniący służbę wojskową. Pochowano go w sklepach kościelnych, a Turcy w kilkadziesiąt lat później, mszcząc się na kościach, wyrzucili je na poniewierkę...

W roku 1633. Turcy wraz z Tatarami dotarli znowu pod sam Kamieniec, przepędził ich stąd jednak Koniecpolski. Wciągu następnych lat dwudziestu grasowały dokoła jego murów kilkakrotnie krwiożercze kupy kozackie pod wodzą Chmielnickiego lub tegoż podkomendnych. Co działo się w podobnych warunkach z polską na kresach kolonizacją — domysł łatwy: palono wszystko, grabiono i równano z ziemią; zgłiszcza i rumowiska zaścielały krainę mlekiem i miodem do niedawna płynącą.

Kamieniec nie otworzył swych bram ani razu na przyjęcie najezdców.

I to niebawem nastąpiło...

* * *

Nadszedł smutnej pamięci rok 1672.

Jęk żałości i rozpaczy wionął nad obszarami Rzeczypospolitej... Kamieniec upadł!

Niezdobyta dotychczas twierdza kresowa przeszła na długich lat dwadzieścia siedm pod panowanie półksiężycy. Rozterka wewnętrzna w państwie uniemożliwiła zgodne i harmonijne współdziałanie: zabrakło mieczów i spis ku obronie „przedmurza chrześcijaństwa“; skromne poczty biskupie i ziemian okolicznych nie były w stanie podołać zadaniu nad siły. Zrozpaczona pierś wyrzuciła z siebie niesłuszny a uwłaczający godności narodu, okrzyk: „Zdrada!“

Nie tylko jednak w Polsce katastrofa kamieniecka głębokie wywarła wrażenie: omawiano ją szeroko, zastanawiając się nad środkami odwetu, w Rzymie, gdzie ruina tyłu świątyń Pańskich, zagarnięcie sporego szmatu ziemi pod wpływ przełożony Islamu, musiały srodze zabołec; dalej w Paryżu, Wiedniu, Kopenhadze, Dreźnie, Moskwie, ba, nawet w Persyi. Wszelkie atoli żale i utyskiwania, nie poparte odpowiednio siłą zbrojną, pozostały jeno jako ślad taniego sentymentu; ze szczytów kościelnych tymczasem usuwano krzyże,

dzwonom zamilknąć kazano, domy Boże zmieniono w meczety ...

O zachodzie słońca wsłuchiwali się biedni obywatele kamienieccy, tak niedawno jeszcze opływający w dostatek i znaczenie, czy nie doleci ich uszu dźwięk dzwonu, bijącego na „Anioł Pański“; wsłuchiwali się daremnie: w cichy, głuchy i pusty step, popłynął ponad zgłiszcza i rumowiska zawodzący głos muezima, głoszącego na cztery świata krańce, że Ałłach jest wielki!

Chwilę tę straszną, mrozącą krew w żyłach, opisywali niejednokrotnie historycy; upamiętnił ją dziejopis ukraińnych kresów, Dr. Antoni J.; spopularyzował genialnem swem piórem w trzeciej części trylogii — Henryk Sienkiewicz. A choć bezstronny sąd historyka wyznaczył Michałowi (Jerzemu) Wołodyjowskiemu w wspomnianym momencie dziejowym właściwe miejsce; choć wysperano w archiwach rodzin kresowych, iż jego Baśka, ów przemiły „kozaczek“, a właściwie wedle brzmienia metryki chrztu: Krystyna Jeziorkowska, z imci panem Michałem u boku kroczyła już po raz czwarty na ślubny kobierzec, jako „niepocieszona“ wdowa po trzech rycerskiego również fachu jego poprzednikach: Świrskim, Kondrackim i Zacwilichowskim, a po bohaterskim bezsprzecznie zgonie czwartego małżonka, do kilku miesięcy wynalazła sobie piątego pocieszyciela, tym razem już w osobie spokojnie osiadłego

ziemianina — Dziewanowskiego, mimo to fantazyą powieściopisarza wyidealizowana para: rycerz kresowy i jego nieodstępna Baśka, żyć będą długo w pamięci i wyobraźni społeczeństwa polskiego.

Skoro los zapędzi turystę nad urwiste brzegi Smotrycza, w przecudną noc księżycową odżyją wśród ruin na więzienie dla przestępców zmienionego dzisiaj zamczyska kamienieckiego, przede wszystkim imci pan Michał Wołodyjowski, rycerz bez trwogi i skazy, oraz umiłowana przezeń nad wszelki wyraz połowica, mimo, że ta ostatnia bynajmniej w dniach strasznych owych przejść w murach obleganej twierdzy nie znajdowała się, uchodząc przerażona gdzieś hen aż w głąb Litwy, z zapisem mężowskim, na wypadek jego śmierci, w kieszeni.

Poszarpane, śmiertelne szczątki Wołodyjowskiego złożono w kaplicy klasztoru OO. Franciszkanów, dzisiaj przerobionej również na prawosławną cerkiew. U trumny dzielnego obrońcy Kamieńca płakały z cicha matka i siostra; modlitwy za umarłych szeptał stryj-zakonnik.

Warunki kapitulacyi obejmowały kilka punktów: garstce obrońców Kamieńca pozwolono opuścić pokruszone jego mury i rozorane pociskami wały z bronią w ręku, armaty natomiast stawały się własnością zwycięzców; mieszkańcom zdobytego grodu pozwolono wynieść się w świat sze-

roki wraz z ich ruchomym dobytkiem; pozostałym na miejscu zapewniono bezpieczeństwo osobiste i własność majątkową; dla katolików, Ormian, Rusinów „kościółów z potrzebą, a reszta na meczety“.

W praktyce gwarancje owe wyglądały nieco odmienniej.

Trzydziestego sierpnia ruszyło ku Jagielnicy istotnie trzysta ładownych wozów, eskortowanych przez 600 Turków. To ludność polska i pewna część ormiańskiej opuszczały Kamieniec; pospólstwo ruskie rozbiegło się po stepach i lasach.

Wjazd Mahometa IV. do stolicy województwa — czytamy w „Ojczystych spominkach“ Ambrożego Grabowskiego — poprzedził Janczara, odbierając z rąk komendanta zdobyte miasto. „Ze wszystkich kościołów i kamienic krzyże zdjęto. Damy szlacheckie, których tam było nie mało, a snać urodziwych, część zabrano na samego cesarza tureckiego, część na wezyra, a reszta na baszów“. Trzeciego września sam sułtan na czele uroczystego orszaku wkroczył do Kamieńca. Ulice na cześć jego skropiono krwią zwierząt świeżo zarżniętych, a miała ona reprezentować krew brańców podbitego grodu. Miejscowe kroniki kościelne przechowały podanie, że po ulicach rozesłane były obrazy świętych, powyrzucane z kościołów; wjeżdżający orszak „niewiernych“ tratował je kopytami końskimi.

Mahomet IV., przybrany w zieloną szatę, na tarantowatym wierzchowcu, poprzedzany całą gromadą wodzow swej armii, w powolnym pochodzie przez rynek ormjański — dzisiejszy plac gubernatorski — i rynek polski, dotarł do katedry; w której podwoje wkroczył z chorągwią w prawicy, z wypisaną na niej datą wzięcia niezdo-
bytego dotąd Kamieńca. Jednocześnie schwytano na rynku ośmioletnie pacholę, obrzezano je wobec sułtana i w ten sposób zakończyła się uroczystość przeobrażenia świątyni katolickiej w meczet mu-
zułmański.

Chłopiec ów, Piotr Jastrzębski, wstąpił z cza-
sem w służbę u Lubomirskiego, a Kochowski („Klimakter“ IV. 197) poznał go po wiktoryi wiedeńskiej na stanowisku dworzanina wspomnia-
nego możnowładcy.

W twierdzy ukryto na czas zawieruchy mie-
nie prywatne i skarbcze kościelne całego woje-
wództwa. Wszystko to stało się łupem zwycięzcy
i powędrowało do Stambułu. Akta grodzkie
i księgi kościelne zabrali także; transportem tym,
złożonym z papierów, miano już ładować statek
na morzu Czarnem, lecz dobrze widziany przez
Turków władyka Szumlański, przybył jeszcze
w porę, wykupił skarby archiwalne i przewiózł je
do Lwowa (Marczyński: „Statystyka“ I. 168).
Akta ziemskie, do których nowi władcy Podola
przywiązywali wielką wagę, również ocalały. Mia-



Kamieniec. Południowa strona zamku

nowany gubernatorem Halil-basza, kazał je złożyć w osobnym budynku, gdzie też w największym porządku przetrwały całą niewolę turecką. Nawiasem dodamy, że zdobywcy, zajmujący z kolei w sto lat przeszło później Kamieniec, w odmienny sposób poczynali sobie z archiwami polskimi, choć ściślej byli związani z Europą i niejednokrotnie podszywali się pod zachodnią kulturę.

Nieszczęśliwy król Jan Kazimierz nie przeżył strasznej chwili. Na nagrobku jego w opactwie St. Germain umieszczono w języku łacińskim wiele mówiące słowa:

„.....usłyszawszy o wzięciu Kamieńca, a nie mogąc znieść takiej klęski, miłością Ojczyzny ugodzony, skonał 16. grudnia 1672 roku“.

Gospodarka turecka w kresowej warowni rozpoczęła się niebawem:

Kościół katedralny św. Piotra i Pawła zamieniono na meczet sułtański, przybudowując doń po lewej stronie głównego dzisiaj wejścia przeszliczny minaret, wysokości bez mała 70 łokci, wzniesiony z głazów kamiennych. Posiada on wewnątrz wijące się schody o 139 stopniach; dokoła szczytu biegnie galeryjka, z której rozpościera się wyjątkowy wprost widok na miasto i okolicę w kilkumilowym promieniu. Na pamiątkę odebrania Kamieńca, ustawił biskup Mikołaj Dembowski na szczycie minaretu, na zachowanym tureckim półksiężycu, odlany w Gdańsku ze spiżu posąg

Matki Boskiej. Jest to na obszarach Polski jeden z najciekawszych zabytków.

Klasztor i kościół OO. Dominikanów zamieniono zrazu na koszary jańczarów, potem na meczet dla padyszacha. Było to ulubione miejsce modlitwy miejscowych komendantów. Po ustąpieniu Turków z Kamieńca został znowu świątynią katolicką, a jako pamiątka ich panowania nad Smotryczem zachowała się do dni naszych wykuta z kamienia, z Konstantynopola sprowadzona, piękna ciosowa kazalnica.

Na podwórzu klasztorne, w przedziwnie romantycznym zakątku, wystawił Halil-basza pomnik swej ukochanej córce, zmarłej daleko od ojczyzny. Bezustanny szelest fontanny, rozpryskującej się na kępach krzewów, płoszył ciszę... Zniknęło to wszystko bezpowrotnie gdzieś w zaraniu ubiegłego stulecia: w czasach ogólnego rozbicia nie pora było myśleć o ratowaniu tego rodzaju zabytków. Przepadło ich nietylko w Kamieńcu bardzo wiele.

Z dwudziestu ośmiu kamienieckich świątyń (12 katolickich, 4 ormiańskie, 12 cerkwi ruskich niezjednoczonych): 5 co przedniejszych zamieniono na meczety, 2 obrócono na stajnie, 1 na koszary, 4 obwarowano, 1 spaliła się w czasie szturm, 3 zostawiono dla chrześcian, reszta rozsypała się w gruzy.

Z materiału ciosowego z rozebranego kla-

sztoru OO. Karmelitów bosych na Skałce, zrujnowanego podczas szturm, wzniesli Turcy około 1675 czy 1685 roku most, łączący zamek z miastem.

Imponująca rozmiarami budowla, jakich niewiele znajdziemy w granicach dawnej Rzeczypospolitej, nosi i dzisiaj jeszcze miano: mostu tureckiego. U stóp jego znajduje się przekop, łączący przyływ i odpływ Smotrycza, dzięki czemu opasuje miasto dokoła wstęga wody.

Skoro staniemy na tym moście, mamy u jednego jego krańca olbrzymie zamczysko, z bastjami, fosami i okazałymi wałami, wzdłuż których wije się droga, prowadząca na przedmieście Podzamcze; u drugiego: na stromej skale, gęsto zabudowany, stary Kamieniec, z resztami obwarowań, pokrytych romantycznie zbiegającym nad same urwiska bulwarem. Po nad dachy domów strzelają wieżyce świątyń i cerkwi; wśród nich, jak szara iglica, rysuje się na tle szafirowego nieba minaret katedralny.

W jarach, nad samym brzegiem Smotrycza, tulą się wśród sadów owocowych skromne przeważnie, małe domki: Wydrówki, Karwasar, Biełanówki i Zińkowiec, ponad nimi wyżej rozbudowały się, na przeciwległych wzgórzach, przedmieścia: Folwarki polskie i ruskie, niegdyś własność gminna zamieszkujących „przedmurze chrześcijaństwa“ dwu nacyj. Pejzaż to jedyny w swoim ro-

dzaju, tak mało niestety wyzyskany przez naszych malarzy.

* * *

Turcy mogli być z góry przekonani, że rycerstwo polskie nie da im spokojnie zażywać owoców zwycięstwa w twierdzy kresowej, od razu więc przystąpili do naprawy obwarowań z pomocą doświadczonych i wytrawnych inżynierów francuskich. Równocześnie należało zatrzeć wszelki ślad panowania giaurów w uroczym zakątku. Rozpoczęto od usunięcia krzyżów i dzwonów ze świątyń, z kolei uprzątnięto gruzy, wyrzucono kości z cmentarzy kościelnych. Beluardy, wznoszone przez fachowców z nad Sekwany i częściowo przebudowany zamek, doczekały naszych czasów. O wszystkich zmianach i przykrościach najdokładniejsze otrzymywano w Polsce wiadomości od poczciwych, pozostałych na miejscu Ormian, którzy nie bacząc na liczne niebezpieczeństwa, doskonale spełniali służbę wywiadowczą, oddając tem przybranej swej Ojczyźnie ogromne usługi.

Większego rozgłosu nabrała sprawa wywiezienia z Kamieńca cudami słynącego obrazu Najświętszej Paniienki. Jak to Dr. Antoni J. ślicznie opowiedział, posiada Podole trzy wizerunki Bogarodzicy, otaczane specjalnem nabożeństwem („Nowe opowiadania historyczne: Pod Krzyżem“). Do latyczowskiej zbiegało się duchowieństwo,

przed tyneńską biło czołem rycerstwo, u stóp ormiańskiej kamienieckiej grupował się stan mieszczański.

Każdy z tych obrazów ma swoją historię; wszystkie trzy w epoce zawieruchy i krwawej pożogi gościł w swych murach... Lwów.

Wizerunek Matki Boskiej łaticzowskiej przynieśli na kresy OO. Dominikanie, których potężnymi opiekunami na Rusi stali się Pilawici. To też wmurowana nad klasztorną furtą kamienieckiej mnichów kaznodziejskiego zakonu siedziby olbrzymia tablica ciosowa, obok innych szumnych pochwał, zawierała następującą wróżbę, wykutą jeszcze w 1712 roku (w języku łacińskim):

„Dom Pótockich tyle trwać będzie, jak długo istnieje Zgromadzenia OO. Dominikanów“.

Około połowy XVII. stulecia „kupy swawolne“ zalały kraj cały, zwracając nienawiść i krwiożerczość nieokiełznaną przedewszystkiem przeciw „białym mnichom“. Wizerunek łaticzowski uratowany, powędrował 1648 r. do Lwowa, gdzie go na przeciąg 74 lat umieszczono w kościele Bożego Ciała. Wrócił na kresy 1722 r., otoczony honorowym zbrojnym konwojem.

Obraz Bogarodzicy tyneńskiej sięga połowy XVI. wieku. Miliony ludu chrześcijańskiego modliły się żarliwie u jego stóp, „niosąc mu swoje skargi, prośby i ofiary; łacinnicy, dyzunicy, wyznawcy wschodniego obrządku; Ormianie katolicy,

Ormianie gregoryanie, Polacy, Rusini, Rossyanie, Multańczycy, Serbowie, francuscy emigranci — wszystko to wciągu trzywiekowej wędrówki przesunęło się przed stopniami ołtarza, na którym obrazek święty spoczywał; heretycy, nowatorowie, szyzmatycy, poturmacy, frankmasoni, jak mówią kroniki kościelne, wyrzekali się wobec niego błędów, a duchowieństwo miejscowe skrzętnie spisywało te dzieje, prowadząc ścisły sumaryusz nawróceń i spowiedzi publicznych“.

Ale nad tym rozmodlonym tłumem górował stan rycerski, owi zapaśnicy kresowi, co przed wyruszeniem w pole, raz jeszcze zabiegali do Tynny, by ukorzyć się przed Cudowną Panienką i wyprosić u Niej promień łaski dla skołatanej bezustannemi walkami i najazdami Ojczyzny.

Rebelia kozacka nie oszczędziła i tego kąta. Tatarzy wraz z gromadą chłopstwa ukraińskiego splondrowali świątynię: „obraz Maryi Panny — jak zapisuje ówczesny kronikarz — pałaszem nad lewem okiem cięty, ołtarze potłuczone, odarte i sprofanowane“. W ostatnich dniach stycznia 1656 r. przeniesiono więc cudowny wizerunek na czas niepokoju do Kamieńca, po którego okupacji Turcy wyrzucili go, wraz z innymi obrazami na ulicę. „Najświętszą Panienkę uratowała z niewoli“ Izabela Humiecka, żona chorążego podolskiego, który poległ podczas szturmowania warowni. „Chciała — mówi z uniesieniem Kochowski —

obrazów złożyć na wóz, niż tam pomieścić dzieci swoje, one drogie węzły miłości małżeńskiej". Ksiądz Andrzej z mianem proboszcza tyneńskiego, został stróżem jego we Lwowie, a złożone przy nim „mobilia i kosztowności kościelne“, wciągnięto do akt grodzkich w Przemyślu.

W r. 1717 powrócił wizerunek „Opiekunki kresowej“ na Podole, pod osłoną rycerstwa polskiego, na którego czele stał ówczesny Tynny posiadacz, wojewoda podolski, Stefan Humiecki.

Wizerunek Matki Boskiej ormiańskiej dziwne przechodził losu koleje. Słynął już na Krymie w X. stuleciu; wraz z pierwszymi kolonistami spłynął na Podole w XIII. wieku jeszcze za rządów tatarskich, umieszczony w malutkim kościółku, dzisiaj istniejącym jako cerkiewka prawosławna.

Bogaty kupiec, przybysz z pięknej Armenii, Sinan, zbudował dla „Cudownej Panienci“ wspinałą świątynię, w której archiwum oglądać można mszał kosztownie pisany w Krymie, w mieście Sorchat (Sudak) w 1349 roku. I rozpoczęła się do kamienieckiego kościoła pielgrzymka, trwająca wieki; żarliwa wiara w cudowny wizerunek nie malała ani na chwilę przelotną, a i dziś jeszcze tysiące serc strapionych korzą się przed łaskami słynącą Bogarodzicą; spieszą przed stopnie ołtarza strapieni i zgębnieni przeciwnościami losu bez względu na wiek, stan lub wyznanie. Nawet wyznawcy prawosławnej Cerkwi otaczają kamieniecki

wizerunek wyjątkowym kultem, a odpusty do-
roczne ściągają tłumy pątników.

Skoro pozostali w Kamieńcu Ormianie przekonali się, iż obietnice tureckie w coraz większym stają rozdzwieku z czynami zaborców, postanowili gromadnie przesiedlić się do Polski. Padyszach pozwolił wprawdzie opuścić im brudną, niespokojną i przeludnioną twierdzę kresową, kazał jednak biedakom udać się w głąb swych posiadłości. Opór na nicby się nie przydał, więc opłaciwszy się słono rozmaitym dygnitarzom i urzędnikom miejscowym, ruszyli biedni wygnańcy na nową tułaczkę. Wędrówka trwała dni niemało. „Szary, cichy, gwiazdzisty wieczór — pisze Dr. Antoni J. — otulił step Urzyjski muszlinowym mgły rąbkiem, ognie taboru zabłysły, czaty złożone ze spokojnych obywateli, wysunęły się na wytknięte stanowiska, a w środku tak zaimprovizowanej osady, na przewróconej maży, kosztownym kilimkiem perskim okrytej, stanął skromny wizerunek Matki Chrystusowej a opiekunki wędrowców! Miasto rześistego i jarzącego świec szeregu uboga lampka olejna oświecała ciemne rysy Bogarodzicy.

„Po skończonych nieszporach, ukłękły przed nią smutne zakonnice, odmawiając modlitwy wieczorne, a ks. Maciej, proboszcz obozowy, przy migającym światełku skrzętnie dzieje dnia całego zapisywał, zamykał rachunek wydanego haraczu i „przymusowych darów“, myśląc z trwogą, ażali

starczy środków na doprowadzenie tej rzeszy do cichego portu.

„Znużeni podróżni do snu się układli, zmieniając się kolejno przed ołtarzem. „Nieustanną adoracją“ zdobywano wiarę w pomyślność tej bez wytkniętego celu podróży... Szli na południe? Do jakiego właściwie miejsca? Nie wiedzieli wcale! Ona wskaże — myśleli, zwracając się z nabożeństwem i ufnością w stronę świętego wizerunku“.

Nocleg ten upamiętnił na płótnie i spopularyzował szeroko znakomity artysta polski, Józef Brandt, którego obraz zdobi cenne zbiory Zakładu narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie.

Cały miesiąc trwała powolna wędrówka przez stopy; unikano głównego szlaku, usuwając się skwapliwie z oczu przeciągającym watahom zbrojnym. Wreszcie dotarli biedni wygnańcy do morza Czarnego i na trzech wynajętych okrętach ruszyli w dalszą drogę. Jeden z okrętów zatonął wskutek burzy wraz z całą załogą; dwa pozostałe przybiły szczęśliwie do wybrzeża tureckiego w Zysopolu wyludnionym najzupełniej wskutek panującego w nim morowego powietrza.

Z wiosną 1674 r. przenieśli się do Macedonii. Tutaj odetchnęli swobodniej, wznosząc przede wszystkim kapliczkę, w której umieścili cudowny obraz, wywieziony z Kamieńca. Liczba kolonistów zmalała do połowy. Nie dorachowano się zatoniętych, oraz zmarłych z rozmaitych chorób

i z tęsknoty za Polską. Nowa osada liczyła ponad trzysta osób, posiadała swój własny samorząd gminny, wójtów, radnych, mężów zaufania i seniorów, jak niegdyś w Kamieńcu. Handel zakwitnął szeroko, szacunek powszechny, nawet u Muzułmanów, wzrastał dla przybyszów z dniem każdym. Brakło tylko wesołości i swobody umysłu: oczy zwracały się bezustannie na północ, ku Polsce, pasującej się z potężnym wrogiem chrześcijaństwa.

Mimo świetnych nadziei na przyszłość, rozpoczęła się cicha, z zachowaniem wszelkich ostrożności, skuteczniejsza emigracja. Pierwsi wymknęli się ku tak gorąco umiłowanej przybranej Ojczyźnie bogatsi kupcy. Wśląd za nimi podążyły zakonnice z cudownym wizerunkiem. Dotarły szczęśliwie do Bukaresztu; w r. 1676. znalazły się w Stanisławowie, zkąd je arcybiskup lwowski ks. Torosiewicz zaprosił do stolicy Rusi.

Osiadły w budynku klasztornym, położonym na cmentarzu ormiańskim, jako Benedyktyнки.

* * *

Wieść o zwrocie Kamieńca napełniła weselem serca wszystkich Rzeczypospolitej mieszkańców.

Działo się to w roku 1699. Traktat karłowicki podpisano 26. stycznia; z wczesną wiosną lud posunął ze skromnym dobytkiem a z pieśnią

na ustach na Podole; po dwudziestu siedmiu latach rozpoczynała się nowa kolonizacja kresów. Niestety niespodziewany najazd rabusiów tatarskich raz jeszcze zebrać miał obfite żniwo: czambuł przeleciał po świeżo zaludnionym kraju, większość przybyszów dostała się w łyka.

Wreszcie po najrozmaitszych wykrętach ze strony władz tureckich, 22. września wojsko polskie wkroczyło w bramy Kamieńca. Kilka zaledwie możliwych do użycia kościołów, poświęcono na nowo z wielką uroczystością; reszta leżała w gruzach, czekając gruntownej naprawy w stosownej chwili. Generałem podolskim i komendantem twierdzy został Marcin Kątski; kilkudziesięciu ziemian zebrało się w katedrze na pierwszy sejmik pod przewodnictwem Marcina Bogusza, wysyłając zeń do miłościwego króla legację „suplikującą za potrzebami miasta tego stołecznego“.

Równocześnie, wraz z całym taborem, przybyło do Kamieńca dwu księży ormiańskich, by rozpatrzywszy się wśród ruin, przygotować możliwy kącik dla Cudownej Paniienki. Kupcy ormiańscy zastali w opuszczonej przez „niewiernych“ warowni bynajmniej nie upragnionych konkurentów-żydów, którym przywileje królewskie w twierdzy nietylko osiadać na stałe, ale nawet nocować nie pozwalały. Na razie położono jeszcze tamę zbytniemu ich rozpanoszeniu się, w sto lat jednak później wkroczyli, wraz z armią rosyjską, w mury

Kamieńca i potulni żydkowie. Jak groźnymi byli konkurentami, wykazała niedaleka przyszłość. Po Ormianach nie pozostało śladu na opasanej wstęgą Smotrycza skale; cały handel przeszedł w ręce żydowskie.

Aczkolwiek królowie potwierdzili wszelkie dawniejsze nadania, „przedmurze chrześcijaństwa“ nie mogło już wrócić do świetności i dobrobytu. Handel i przemysł upadały z rokiem każdym; gospodarka turecka odbiła się na wszystkim zbyt radykalnie, gruzy więc usuwano wprawdzie, restaurowano domy Boże, łatano mury, Kamieniec jednak przestał już być „okiem w głowie“, zapominano o nim zwolna.

Przypomniała dopiero o dawnej warowni, w odmiennych już warunkach, cesarzowa Katarzyna II., która poleciła pierwszemu generał-gubernatorowi kresowych prowincyj, Kreczetnikowowi, za wszelką cenę osiąść Kamieniec.

Zanim to jednak nastąpiło, inne odwiedziny stały się udziałem w kąk Rzeczypospolitej zasunętego grodu: jesienią 1781 roku stanął w jego murach siostrzeniec wszechwładnych na Podolu Czartoryskich, ostatni król polski, Stanisław August Poniatowski. Ukoronowanego gościa witano ogniami sztucznymi, przemówieniami i okrzykami wielkiego zbiorowiska ludu. Zagrały mu z wałów zamkowych armaty, zadźwięczały z wież kościelnych dzwony, a król esteta, miłośnik sztuk i lite-

ratury pięknej, może i szczerze zachwycił się tem wszystkim, co tutaj rozsnuto przed jego oczyma. Jeśli jednak te mury, dawnych wieków świadki, przemówiły do jego wyobraźni i serca, smutek chyba zaskowyczał mu gdzieś głucho w najgłębszych tajnikach duszy, choć piękne usta składały się do wdzięcznego uśmiechu, który tak ludzi dlań niewolił.

Biskup Krasieński, acz konfederacya Barska postawiła go w wrogim Poniatowskiemu obozie, przyjmował monarchę z całą powagą, witając kunsztowną oracyą w specyjalnie na ten cel wzniesionej u wejścia na cmentarz katedralny bramce. Dymy kadzideł ulotniły się dawno, łuki tryumfalne, dekoracye na prędcie urządzone, zniszczyła szaruga jesienna, pozostała tylko do dni naszych ta smutna, szara, odosobniona kamienna pamiątka, o której pierwotnem przeznaczeniu mało kto wie z dzisiejszych mieszkańców Kamieńca.

Do jesieni 1792 roku stał na czele kamienieckiej załogi Józef Orłowski, generał-major wojsk koronnych. W korpusie kadetów kształcił umysł i serce; z kolei wraz z Tadeuszem Kościuszką wysłany został na dalsze studia wojennego kunsztu za granicę; po powrocie do kraju adjutantuje z Niemcewiczem u boku ks. Czartoryskiego, generała Ziemi podolskich; wreszcie z rozporządzenia Wielkiego Sejmu staje na czele kresowej warowni. Targowica nie miała doń przystępu, ni

papką ni czapką nie mogła go skaptować dla swych zbrodniczych zamysłów, przybranych w mamiące pozory miłości Ojczyzny i swobód szlacheckich, więc też pod naciskiem wszechwładnych „królików“, pracujących na zgubę Rzeczypospolitej pod dyktatem carowej i jej bezwzględnych zastępców, musiał usunąć się z Kamieńca, ustępując miejsca Hanickiemu.

Nieocenionym wprost dokumentem do owej smutnej i sromotnej epoki dziejów Kamieńca jest „Księga pamiętnicza“ naocznego świadka omawianych wypadków, majora Andrzeja Ptaszyńskiego.

„Dnia 18. kwietnia (1793 r.) — czytamy w niej — przybył z Grodna JW. Złotnicki, marszałek województwa podolskiego, któremu W. Hanicki zaraz zdał komendę fortecy“.

Syn ubogiego szlachetki, rotmistrz konfederacyi Barskiej, z kolei zaufany Szczęsnego Potockiego, któremu za wyświadczone drobne przysługi suto każe sobie płacić, dwukrotnie poseł na Sejm, wreszcie jeden z najgorliwszych prześladowców zwolenników konstytucyi 3 maja — był Złotnicki dla Katarzyny bardzo pożądanym komendantem Kamieńca.

„Ważny ten gród bezwarunkowo znaleźć się winien w naszych rękach“ — pisała cesarzowa do generał-gubernatora Kreczetnikowa. — „Im prędzej to nastąpi, tem lepiej, z chwilą bowiem pod-

dania się jego, wszystko się skończy i ułoży pomyślnie“. Że o tych słowach swej monarchini pamiętał wykonawca jej woli — nie wątpimy; nie zapomniał również wielce charakterystycznej rady: „Dla osiągnięcia zamierzonego celu użyć należy wszelkich środków, przyrzekając komendantowi nagrodę pieniężną, majątek i wysokie stanowisko“.

Ostatnie słowa wszechwładnej imperatorowej smagają bezlitośnie nasz honor i dumę narodową, a ból ten staje się tem potężniejszy, gdy pamiętać zechcemy, że — niestety — Katarzyna wybrała na zdobycie twierdzy, którą „Bóg zbudował“, środek najniezawodniejszy. Złotnicki nie posiadał żadnych cech dawnych „lwów kresowych“, łatwo więc było doń trafić... workiem dukatów, dzięki czemu „wszystko skończyło się i ułożyło pomyślnie,“ mniejsza o to dla kogo.

„Dobrze myślący nowy komendant“ — jak się o nim wyrażali Rosyianie — nie zawiódł zaufania: „dnia 1. maja, gdy codzienne nalegania były, grożące atakiem i zburzeniem miasta, z dwoma sztabsoficera mi wyjechał za fortecę o pół ćwierci mili, na folwark pojezuicki zwany, i tam z JW. generałem Derfeldenem miał z godzinę sam konferencyę, poczem powrócił nazad do fortecy.“

„Dnia 2. maja JW. Złotnicki wyjechał za bramę zamkową, a gdy JW. Derfelden nadjechał, mając przy sobie generałów: Morkowa, Rozumowskiego i Knorringa, jako też i innych sztabso-

i oberoficerów wielu, po krótkim powitaniu się, o godzinie wpół do dwunastej przed południem, wprowadził go zamkową bramą do fortecy i zaraz ztąd poszli do kościoła katedry polskiej. Tam JW. Złotnicki, jako komendant, wykonał przysięgę na wierność najj. imperatorowej i po wykonanej oddał klucze fortecy gen. Derfeldenowi; ten wzięwszy je w ręce, oddał natychmiast JW. Złotnickiemu; potem ten ostatni wyszedł z kościoła, przed którym regimenta i oficerowie też przysięgę wykonali, a naostatku wszyscy sztabs-oficerowie, wykonawszy przysięgę przed hauptwachem, na to się podpisali. Szlachta zaś w kościele, mieszczaństwo na ratuszu, księża i inni ludzie także w kościołach swych parafiów, a żydzi z przedmieściów w szkole na Karwasarach przysięgali. A po skończonej przysiędze sto jeden razy w fortecy z dział ognia wydano; o godzinie drugiej z południa od pułku ekaterynosławskiego dwa bataliony ruską bramą do zamku wmaszerowało, a reszta tego pułku została za fortecą i stanęli obozem koło karczmy ruskich folwarków...

„Po tych załatwieniach kazał JW. komendant Złotnicki zrobić osobne klucze od fortecy i te przez sztabsoficera, umyślnie na to wykomendowanego z garnizonu, do Łabunia odesłał do JW. Kreczetnikowa, generała *en cheff* i gubernatora, a ostatni też same klucze przez Zubowa,



Kamieniec. Widok katedry z minaretem.

pułkownika rosyjskiego, wyprawił do Petersburga do najj. imperatorowej“.

Tyle major Ptaszyński.

W Petersburgu zapanowała nie dająca się wprost opisać radość. Katarzyna obsypywała wszystkich, bodaj w najluźniejszym pozostających związku ze „zdobyciem“ Kamieńca, dostojenstwami, orderami i drogocennymi podarunkami, podkreślając bezustannie z niekłamanem zadowoleniem fakt, iż twierdza otworzyła przed armią rosyjską swe bramy właśnie w rocznicę urodzin monarchini (21. kwietnia starego stylu). Jeśli to nie był prosty zbieg okoliczności, przyznać bezstronność każe, że Złotnicki obmyślił całą tragikomedję w najdrobniejszych szczegółach i miał prawo oczekiwać sowitej nagrody.

Nie ominęła go ona istotnie.

„W lipcu — zapisuje Ptaszyński — przybył z Petersburga kuryer do Kamieńca, który przywiózł JW. Złotnickiemu od najj. imperatorowej patent na generał-porucznika w wojsku rosyjskiem, order i tabakierę złotą, brylantami kameryzowaną, dosyć kosztowną.

„Dnia 11. augusta JW. Złotnicki, generał-porucznik wojsk rosyjskich, wyjechał z Kamieńca do Petersburga, po którym objął komendę garnizonu brygadyer Nowikow...“

Jak bolesnem echem odbiło się w Polsce wydanie warowni kresowej bez wystrzału Rosyya-

nom — pisać rzecz chyba zbyt czarna. Żywioły pa-tryotyczne czuły aż nadto dobrze, że tym razem nie z Turkiem sprawa i że powszechne rozbicie w polskim społeczeństwie wyklucza na długie lata myśl odwetu.

Rozpoczynała się nowa epoka dziejów Kamieńca.

* * *

Historia dziewiętnastego stulecia spisała szczegółowo wszystkie fazy, jakie przechodziły ziemie Rzeczypospolitej, nie wyłączając Podola z jego stolicą i ozdobą. Dużo w niej łez, zawiedzionych nadziei, rozwianych złudzeń. Nie poskąpiło nam ich przeznaczenie, a ta próba czy kara za dawne winy, trwa już wiek z okładem.

Gospodarka rosyjska w Kamieńcu, jak już zresztą wyżej wzmiankowaliśmy, zmierzała konsekwentnie do zatarcia wszelkich śladów polskiej kultury. Nie była ona pozbawiona brutalnych efektów i błędów taktycznych, zdziałała jednak swoje, dopięła w znacznej mierze wytkniętego z góry celu. Z dawnych obwarowań, mimo wszystko, pozostało dosyć zabytków. Podrójnowane one, nie otacza ich pieczołowitość i opieka, jak się to dzieje w innych kulturalnych krajach i społeczeństwach, istnieją jednak i świadczą pełnym głosem o przeszłości z przed rosyjskiego na kresach pa-nowania.

Godny widzenia jest zamek z mostem tureckim; poważne wrażenie wywierają brama Batorego, inaczej Wietrzną zwaną, oraz Ruska bramka z zachowanym orłem polskim, beluardy i baszty. Z licznych domów Bożych tylko cztery służą obecnie wyznawcom rzymsko-katolickiego obrządku; resztę poprzerabiano na prawosławne cerkwie, których rozrzucono w śródmieściu i po przedmieściach (wraz z kaplicami) bez mała dwadzieścia.

W roku 1818 oddano Podole pod względem administracyjnym pod władzę wielkiego księcia Konstantego; w roku 1832 przyłączono do generał-gubernatorstwa kijowskiego, zamykając równocześnie w Kamieńcu wszystkie, dotychczas polskie, szkoły publiczne. W dziesięć lat później skasowano klasztory OO. Dominikanów i Trynitarzy.

* * *

Są to punkty krańcowe, jakby słupy znaczące poszczególne etapy w urządzaniu zagarniętych ziem na nową modłę, zmiana ta jednak postępowała powoli, coraz szersze zataczając kręgi. Zrazu pozostawiono szkolnictwo polskie i względną swobodę łacinnikom, natomiast do wyznawców grecko-katolickiego Kościoła zabrał się bezwzględnie już następca Kreczetnikowa — Tutolmin, z całą zaciętą kompanią „nawróconych“ księży eks-unitów. Kamieniec pozostał w gruncie rzeczy

jeszcze czas pewien miastem polskiem, środowiskiem polskiego ziemiaństwa, siedzibą wyborowych dygnitarzy polskich, choć w pałacu gubernatorskim rezydował już szef kraju — Rossyanin. Co więcej, nominacya hr. Grocholskiego gubernatorem podolskim, i w tej zasadniczej kwestyi uczyniła znaczący wyłom.

Stosownie do prądu, przeważającego w stolicy cesarstwa, i jego kończyny doznawały pewnych ulg, zwolnień w systemie rusyfikacyjnym, lub zaostrzeń, tem dotkliwszych, gdy następowały najniespodziewaniej i bez cienia uzasadnienia tego rodzaju zmiany na gorsze. Zależało to od fantazyi Pawła, obu Aleksandrów czy Mikołaja I., dwaj ostatni bowiem władcy Rosyi nie nastęrczali najskromniejszych bodaj złudzeń pod tym względem, a i rusyfikacya kraju zbyt wielkie poczyniła już postępy.

Dnia 22. września 1798 r. szlachcic Antoni Żmijewski uzyskuje u rządu pozwolenie na prowadzenie teatru polskiego, on też, nie zaś — jak mylnie do niedawna sądzono — Kamiński, jest ojcem sceny polskiej na kresach.

Szlachcic jednak zbankrutował z kretesem i dopiero wówczas obejmuje przelotnie dyrekcję przytułku Melpomeny, wspomniany przed chwilą „Galicyanin“, ustępując z kolei miejsca artyście o wysokich aspiracyach, Sewerynowi Malinowskiemu. Dla ratowania robiącej bezustannie bo-

kami sceny polskiej, zawiązuje się „rada obywatelska“, mimo to różnie tam bywało, wicher jesienny hulał bezkarnie po widowni, wraze zaś deszczu publiczność pod parasolami w sali siedzieć była zmuszona.

Głównym opiekunem teatru kamienieckiego stał się zamożny ziemianin i popularny pod pseudonimem Stacha z Zamiechowa poeta, Stanisław Starzyński. Nie zawsze bywał on w zgodzie z duchowieństwem, posądzany może i nie bez racji o zachodnią wolnomyślność, a walka ta odbijała się dotkliwie i na scenie; starcia dwu partyj poruszały do żywego obywateli kresowego grodu, dostarczając na długie tygodnie tematu do rozmów.

W ustroniu wiejskiem u Stacha z Zamiechowa, który od kieliszka stronił, kart nie uznawał, stadniny nie hodował, zjeżdżała się często śmietanka literacka podolska na wymianę myśli i odczytywanie najnowszych własnych utworów. Imieniny gospodarza w dniu 8. maja 1823 r. zapisały się na długo w pamięć uczestników zebrania. Obok dygnitarzy szlacheckich, gubernialnych i powiatowych, znaleźli się w Zamiechowie: Maurycy Gosławski i Franciszek Kowalski, dobrze znani dziejom polskiej poezji, dalej przeceniony ponad wartość rzeczywistą „wieszcz Miodoborów“ Tymon Zaborowski, Seweryn Malinowski i słuchacz Uniwersytetu wileńskiego, Adolf Januskiewicz.

Gosławski, w gorącej wodzie kąpany do sa-

mej śmierci, młody i namiętny w omawianej chwili, przywiózł z sobą balladę, w której niemiłosiernie naigrawał się ze „Statystyki gubernii podolskiej“ poczciwego ks. Wawrzyńca Marczyńskiego. Nai-grawał się niesłusznie, „Statystyka“ bowiem, mimo liczne błędy, posiadała wartość niezaprzeczoną, a dziś pilnie poszukiwana, stanowi niejednokrotnie źródło wielkiego znaczenia. Biedny księżyna, roz-kochany w Kamieńcu, w którego szkołach baka-larzował, musiał ostatnią przyzwoitą sutannę sprze-dać, by pokryć kosztą druku książki, tak niemi-łosiernie ośmieszanej, wiersz bowiem Gosławskiego p. t. „Ballada i Ja“ rozchodził się w licznych od-pisach po stolicy gubernii i jej sąsiednich powia-tach, wywołując wszędzie niepożądany dla autora „Statystyki“ efekt.

— Nietrudno sobie wyobrazić, jak przyjęto w Zamiechowie słowa „Ballady“:

„..... — Marczyński co słyszę!
 Marczyński, co bezbożną statystykę pisze.
 Za karę, że do rzeczy nie swojej się chwycił,
 Będzie przez całe życie własne dzieło czytał.
 O szczęśliwy! szczęśliwym zrobiło go pióro,
 Będzie i w niebie siedział nad literaturą...“.

lub odpowiedź poety:

„A to mi śliczne szczęście — przez tysięczne wieki
 Ani spać, ani się budzić,
 Wiecznie snu chcącej nie zmrużyć powieki
 I własną się wśród szczęścia statystyką nudzić“.

Z kolei wystąpił Franciszek Kowalski z powinszowaniem, skreślonym ciężkim wierszem; odpowiedział mu zgrabnie gospodarz przepięknej wiejskiej siedziby; wreszcie przybysz z Wilna wyciągnął z kieszeni niewielką bibulastą książeczkę z poezjami „pewnego pana Mickiewicza“. Odczytał je artystycznie Seweryn Malinowski i olśnił wszystkich. Zamilkł sarkastyczny Gosławski, zamyslił się głęboko „wieszcz Tymon“... zebrani w Zamiechowie odczuli, że zawiął ku nim z nad Wilii i Niemna jakiś prąd przedziwnie ożywczy, otwierający rodzimej poezji nowe szlaki.

Najbliższe lata sprowadziły znaczne zmiany: w powstaniu 1831 r. Podolacy odegrali, jako obrońcy Zamościa, zaszczytną bardzo rolę, ale też i konfiskaty majątków posypały się, jak z rogu obfitości. Kółko zamiechowskie ucierpiało również dotkliwie: Januszkiewicz chorował za Uralem, Kowalski błąkał się po świecie, Tymon Zaborski jeszcze w 1828 r. znalazł śmierć w nurtach Zbrucza, Malinowski borykał się z nędzą, Starzyński dziwaczał coraz bardziej...

Pozostaje jeszcze wzmianka o Maurycym Gosławskim:

Wyjątkowym jakimś sentymentem obdarzał on Podole. Robiono mu nawet zarzut, że, zwłaszcza w pierwszej epoce twórczości poetyckiej, zbyt hołdował zaściankowemu patriotyzmowi, zamiast górnym swym lotem szersze ogarnąć horyzonty.

Zarzut ten bynajmniej nie był uzasadniony, w strunach lutni jego dźwięczała zawsze donośnie nuta miłości Ojczyzny a sentyment poety dla ziemi mlekiem i miodem ongi płynącej, przysporzył literaturze rodzimej tyle prawdziwych perełek, że jeno radość wyrazić można, iż Podole właśnie, ze skarbnicą swych pamiątek, stało się źródłem jego natchnienia.

Obok Podola, winny mieć we wdzięcznej pamięci imię poety i Podolanki. Oddawszy w zaraniu życia serce bez zastrzeżeń jednej z nich, przeniósł z kolei uwielbienie swoje na cały ród niewieści nad brzegami Dniestru, Zbrucza i Smotrycza, wyśpiewując na jego cześć hymny, jakich niewiele posiadamy w poezji polskiej:

„A jakież to bóstwa tkliwe
 W anielskiej postaci
 Schodzą w więzienia zelżywe
 Wspierać wolnych braci?
 A z ich zstąpieniem w około
 Płynie słodki źródł pociechy —
 Czysty, jak ich serca czyste,
 Jak ich anielskie uśmiechy.
 Jak ich lica promieniste.

Bóstwo to — Nieb rodzinnych chwilowe wygnanki!
 Padnij na twarz i bij czołem
 Korniej, niżli przed Aniołem,
 To są Podolanki!“

Pierwsze lata dzieciństwa — jak już wzmiankowaliśmy — przefiglował Maurycy w Nihinie, o małe dwie milki odległym od Kamieńca, gdzie potem brat jego Albin do późnej starości wspomnieniami owemi dzielił się z gośćmi, odwiedzającymi chętnie jego niski dworek, tonący w kępach wonnego kwiecia, wśród którego poważnie przechadzały się przepyszne pawie.

Szkoły kamienieckie miały zaszczyt zaliczać Gosławskiego do grona swoich uczniów, póki nie zwabił go rozgłosny na kresach Krzemieniec, celem wyższego wykształcenia przyszłego poety-żołnierza, dzielnego obrońcy Zamościa i stanisławowskiego więźnia.

Rzeczy to dobrze znane, nie miejsce więc powtarzać je w niniejszej gawędzie, przypomnieć jeno wypadnie, że Gosławski w każdej życia dobie zwracał się tęskną myślą ku nadsmotryczańskiemu zakątkowi i tak, jak niegdyś śpiewał piosnkę, cieszącą się do niedawna olbrzymią popularnością a i dziś jeszcze mile słuchaną po dworach wiejskich:

„Gdyby Orłem być!
 Lot sokoła mieć!
 Lotem orlim lub sokolim,
 Unosić się nad Podolem,
 Tamtem życiem żyć...“.

do której jeden z jego przyjaciół dorobił garść zwrotek, może znajdujących się gdzieś jeszcze

w ukryciu w jakimś archiwum rodzinnych pamiątek, choć Dr. Antoni J. zdołał zanotować z nich jeno skromny ułomek:

„Orle, orle stój,
Daj mi polot swój,
Latać będę ponad skały,
Gdzie przebywa wieszcz niestały,
Ulubiony mój!“...

tak w latach późniejszych w obozie w Zamościu, nucił smętnie przy ognisku:

Już podolskich dumek echem
Nie brzmi Zamość wszcz i wzdłuż,
I podolska twarz uśmiechem
Nie jaśnieje więcej już“.

.

„Zwiędłem liściem jesień miecie,
Moi drodzy! przyjdzie czas,
Że tak po szerokim świecie
Los rozproszy wkrótce nas.

Z wyciągnoną wy tam dłonią
Wyglądacie nas u wrót —
A nas w więzach ztąd pogonią
Gdzieś pod jarzmo, gdzieś pod knut.

I zakwitną wasze pola,
I błysnie wam szczęścia dzień.
A nam! — niema nieb Podola,
Nam radości niema tchnień.

Pokruszone leżą lance,
 Jasne groty trawi rdza,
 W sercu żal po Podolance,
 Po Podolu w oku łza!“

Tych kilka przykładów wystarczy.

Dr. Aleksander Czołowski oglądał przed kilkunastu laty w Horyhladach, w powiecie tłumackim, w niedostępnej jaskini — niegdyś pustelni — wykutej w ścianie skalnej nad Dniestrem w wysokości trzeciego piętra, wryty podpis: „Maurycy Gosławski,“ z dodatkiem, iż poeta ukrywał się tam czas jakiś, domysł łatwy: przed pościęciem urządzonym na emigrantów przez ówczesny rząd krajowy.

Pochwycony — umarł za kratą w Stanisławowie. Temu, który tak bardzo ukochał Podole, należała się w ramocie o zakątku nad Smotryczem obszerniejsza wzmianka.

* * *

Biskupstwo kamienieckie istniało z małemi przerwami w latach 1672—1699 i 1795—1798 blisko pięć stuleci, pochłubić się też mogło ludźmi niepośledniej miary, którzy częstokroć awansowali w hierarchii kościelnej na arcybiskupstwo lwowskie. Długi ch szereg rozpoczyna 1375 r. Dominikanin Wł. Im, kończy w 1866 Antoni Fijałkowski. Podkreślić wypada, że zakon kaznodziejski dostarczył kresom nie jednego księcia Kościoła.

Z nich Paweł I. wybitną odgrywał rolę w sporach między Świdrygiellą a Władysławem Jagiellą, Maciej II. ze starej Łomży herbu Ławicz, własnym kosztem zbudował pięć kościołów w Kamieńcu, fundował nadto klasztor Benedyktynów w Jazłowcu.

Z następców, a przytaczamy tylko nazwiska głośniejsze: Jakób Buczacki herbu Abdank, Podolanin, Rusin, ostatni z tego rodu,łożył na budowę katedry i zamku kamienieckiego, czego pamiątką dzisiaj jeszcze widoczny na jednej z baszt herb Abdanków, przystrojony w infułę i pastorał. Piotr Gamrat herbu Sulima, faworyt królowej Bony, późniejszy prymas, żadnych śladów nie zostawił po sobie w kresowej warowni; toż samo Andrzej II. Radwan Zebrzydowski. Leonard Słończewski, niesłusznie pomawiany o nowatorstwo, fundował w katedrze kaplicę Pocieszenia, gdzie też ciało jego złożono. Jedna to z piękniejszych postaci na Podolu; słynął jako znakomity kaznodzieja na dworze Zygmunta a jako dodatni rys charakteru świadczyć może i to, że na burzliwym Sejmie piotrkowskim obstawał gorąco za małżeństwem króla z Barbarą. Marcin Abdank Białobrzegi, przyjaciel trzech królów: Zygmunta Augusta, Batorego i Walezyusza, nadto sprawami państwa zajęty, nie miał czasu interesować się dyecezyą. Upamiętnił się zamianą z Janem Zamoyским Karczmazowa z przyległościami za Pragę

pod Warszawą, czem niemalą krzywdę wyrządził Kamieńcowi, biskupi bowiem kamienieccy odtąd radzi przesiadywali w nowo nabytej posiadłości tuż pod bokiem tronu, zamiast sprawować rządu u wschodniej ściany Rzeczypospolitej. Wawrzyniec Grzymała Goślicki umarł jako biskup poznański 1607 r. Luminarz to wielki, mowca niepospolity, poseł do państw wielu. Jan IV. Andrzej Korczak Próchnicki, przywiódł z sobą do Kamieńca w 1608 r. OO. Jezuitów, którymi opiekował się nader troskliwie, nie zapominając przytem i o katedrze. Fundował klasztor Dominikanek w Kamieńcu, oraz inne kościoły na prowincyi. W r. 1614 przeszedł na arcybiskupstwo lwowskie. Za rządów jego następcy, Macieja III. Pomian Łubieńskiego, spłonęła katedra w połowie czerwca 1616 r. Umarł on jako prymas, arcybiskup gnieźnieński. Adam I. Nałęcz Nowodworski trafił na smutne czasy: pożary, morowe powietrze i oblężenie warowni przez Osmana. Pełnił niestrudzenie obowiązki kapłańskie. Wojciech Koryciński herbu Topor, nic na kresach nie zdziaławszy, przeszedł 1670 r. na arcybiskupstwo lwowskie. Za episkopatu Wespazyana Zadory Lanckorońskiego Kamieniec przeszedł pod panowanie półksiężyca. Następcy jego trzej nie oglądali nigdy swojej dyecezyi, przesiadując w Pradze; dopiero za Jana Chryzostoma Gnińskiego Turcy opuścili gród kresowy. Ogromne zasługi położył około odrodzenia dyecezyi po latach nie-

woli Stefan Rupniewski. Znakomitym pasterzem był również Franciszek Poraj Kobielski, zapalony zwolennik Sasów. Wacław Hieronim Ogończyk Sierakowski skończył na arcybiskupstwie lwowskim. Na Podolu był niezwykle czynny, dobrą też pamięć po sobie zostawił. Zacny i wielce pobożny Mikołaj Jelita Dembowski, nominat-arcybiskup lwowski, wstąpił się urządzeniem słynnej dysputy frankistów z talmudystami, marzył o nawróceniu żydów. Adam III. Krasieński nadto dziejom dobrze znany z konfederacyi Barskiej. Roman Michał graf Sierakowski, kapłan smutnej bardzo sławy, jedynie dla kontrastu ze swoimi poprzednikami i następcami może być tu wymieniony. Obdarowany hojnie przez cara Aleksandra I, umarł w 1802 roku.

Za panowania rosyjskiego rządził diecezją podolską: Jan VII. Dembowski herbu Jelita, Franciszek Borgiasz Łukasz Machwicz Mackiewicz, Mikołaj Górski i Antoni Fijałkowski.

Obok biskupów posiadał Kamieniec sporo wybitnych kapłanów, celujących żarliwą wiarą, nauką i obowiązkowością. Nie sposób spisywać tu ich nazwisk, zanotować jeno wypadnie, że w latach 1816—1817 przemieszkiwał na Podolu, w dobrach hr. Chołoniewskich, znakomity poeta niemiecki, osobistość dla swych przeżyć życiowych niezmiernie interesująca, ksiądz Fryderyk Zacharyasz Wer-

ner, któremu gościnni gospodarze wyrobili nawet kanonię kamieniecką.

Ksiądz Stanisław hr. Chołoniewski, dziekan kapituły kamienieckiej, należał do najwybitniejszych postaci, działających na Podolu w epoce między ruchami narodowymi 1831 i 1863 roku. Był to pisarz bardzo wybitny, odgrywający w życiu naukowem i kulturalnem kresowych prowincyj — wraz z Michałem Grabowskim i Henrykiem Rzewuskim — pierwszorzędną rolę. Z dzieł jego „Sen w Podhorcach“ i „Dwa wieczory u pani starościny Olbromskiej“, znacznym cieszyły się rozgłosem a i dzisiaj jeszcze czyta się je z zacięciem.

O ks. Marczyńskim wspomnieliśmy już wyżej; o ks. Hulanickim wzmiankujemy na innym miejscu.

* * *

Ostatni poryw narodowy z przed pięćdziesięciu laty wycisnął i na Kamieńcu silne piętno, choć — jak wiadomo — Podole, ściśle mówiąc, nie brało, jako takie, czynnego udziału w zbrojnej ruchawce. Kółka konspiracyjne i tutaj działały, na posiedzeniach przychodziło do starć między „białymi“ i „czerwonymi“, w końcu jednak przeważało zdanie pierwszych, czujących aż nadto dobrze, iż w kraju o podkładzie ruskim, gdzie cała bez wyjątku niemal ludność włościańska wrogo była usposobiona względem „lachów“, nie

można było roić o powodzeniu polskiego powstania.

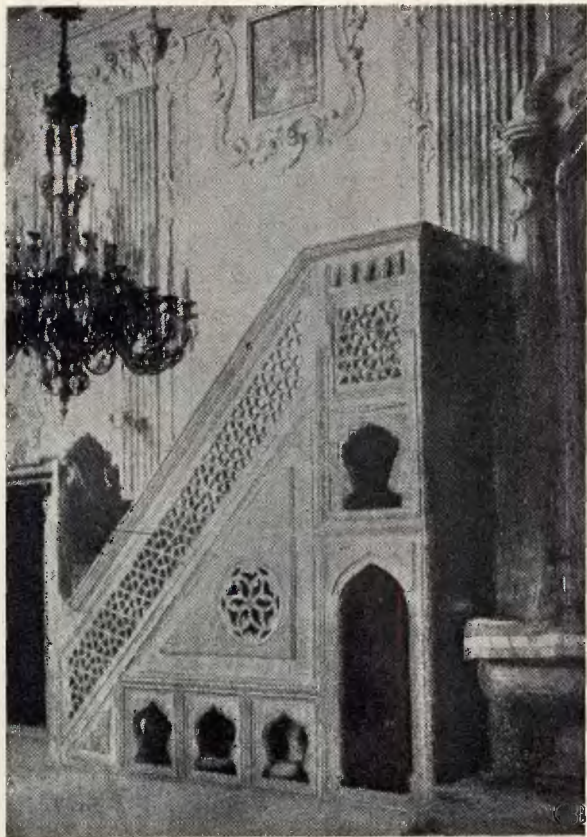
Okazało się to zresztą niebawem, gdy z włościan potworzyła miejscowa administracya strażę, czuwającą po drogach u wjazdu do wsi i miasteczek. Chwytały one bez miłosierdzia każdego, kto nie mógł wykazać się pasportem, wlokły do urzędów gminnych, gdzie pijany, częstokroć niepiśmienny wójt reprezentował władzę we właściwy sobie sposób. Biedny taki, Bogu ducha winien podróżny, narażony bywał w podobnych warunkach na tysiączne nieprzyjemności, choć z drugiej strony zanotowały kroniki z owych smutnych czasów i sporo scen humorystycznych.

Parę z nich dla przykładu przytoczyć wypadnie; szcharakteryzują one dosadniej rzecz samą niż najdokładniejsze opisy.

Ziemanina, spieszącego w ważnym interesie do stolicy gubernii, zatrzymała straż odpowiednio podniecona wódką i zażądała okazania *bumagi*.

Napastowany spostrzegł się zbyt prędko, iż w pośpiechu nie wziął z sobą żadnych dokumentów, sięgnął do kieszeni, wyjął znajdujący się w niej przypadkowo kawałek starego afisza teatralnego i podsunął go pod nos najgłośniejszemu hałasującemu chłopu.

Przywódca straży, nie umiejący *ni czytać ni pisać*, ujął podany sobie papier w brudne łapy,



*Kamieniec. Ambona turecka w kościele
po-dominikańskim*

obracał go na wszystkie strony i wreszcie zakonkludował:

— *No, bumaga je, ałe treba pijty do wijta.*

O oporze trudno było myśleć wobec znacznie przeważającej siły.

Podróżny struchlał: „piśmienny“ pisarz gminny pozna się na podstępnie, a wówczas niewinny figiel z afiszem narazić może na wiele mitręgi i nierzyjemności, zanim się rzecz cała wyjaśni.

Na szczęście jednak pisarza nie można było odszukać, naczelnik gminy zaś, nie obyty również z tajnikami wielkiego i małego alfabetu, uznał z całą powagą przedstawiony sobie „papier“ za dokument wystarczający najzupełniej i podróżny mógł ruszyć spokojnie w dalszą drogę.

Inny wypadek równie znamienity:

Żona rotmistrza pogranicznej straży ciężko zaniemogła, wypadało więc wezwać pomocy lekarza i prosić go o odwiedzanie chorej co dni kilka.

Zima bardzo nawalna utrudniała komunikację z zapadłym kątem, a nadto straż chłopska, głucha na wszelkie przedstawienia, kazała eskulapowi za każdym razem wyłazić z sań, rewidowała gruntownie siedzenia, czy w słomie nie ma przypadkiem ukrytej broni, kilkakrotnie ściągała nawet futro z ramion doktora, przeszukując skrupulatnie wszystkie kieszenie.

W podobnych warunkach lekarz zaniechał męczących jazd na prowincję, a przybyłemu doń stroskanemu rotmistrzowi oświadczył krótko i węzłowato, iż nie chcąc poddawać się rewizjom pijanego chłopstwa, poza mury miasta w tyle anormalnych stosunkach nogą się nie ruszy.

Rotmistrz przeraził się na seryo...

— Panie doktorze — rzekł po chwili namysłu — zaklinam pana, przyjedź pan raz jeszcze jutro, a przekonasz się, że nie będziesz narażony na żadne przykrości...

Lekarz wreszcie ustąpił i dnia następnego ruszył w drogę. Konie biegły rączo po puszystym śniegu, dzwonki dźwięczały donośnie w stepie...

— *Stoj! Stoj!* — zawołało kilku ze straży chłopskiej, uzbrojonych w okazałe pałki.

— *Ta to doktor jide* — tłumaczył woźnica.

— *Doktor, ne doktor, wsio jidno, zatrymaj koni!*

Nasz eskulap, zły jak sto dyabłów, gramolił się już z sań w śnieg, gdy wtem nagle z za pagórka zamajaczyło na nieskazitelnej bieli kilkunaśtu jeźdźców. Przybywała na pomoc straż pograniczna, która w szalonym galopie spadła z nahajkami na przerażonych chłopów.

Jak ci „obrońcy ładu i porządku“ wytłumaczyli sobie zagadkę, że władza kazała im stróżować po drogach a równocześnie za to stróżowanie nahajkami tłukła po łbach — nie potrafimy

wyjaśnić. To pewna, że lekarz nie nagabywany przez nikogo, jeździł od tej chwili spokojnie do swojej pacjentki, na znany bowiem już sobie dobrze dźwięk dzwonek, straż rozbiegała się w płochu na wszystkie strony, wołając:

— *Wtikajmo, doktor z Kamińcia jide...*

Powstanie 1863 roku zmiotło w Kamińcu wiele polskich instytucyj, nie mówiąc już o zniesieniu biskupstwa i przyłączeniu go do dyecezyi łucko-żytomierskiej, o zamknięciu rzymsko-katolickiego duchownego seminarjum, rozpędzeniu OO. Karmelitów, Panien Wizytek i Dominikanek. Ostatni biskup kamieniecki, 55-ty z rządu, ks. Antoni Fijałkowski, opuszczał stolicę swej dyecezyi, z ogromnym żalem w sercu, w pierwszych dniach listopada 1866 roku. Kościół OO. Karmelitów przerobiono na prawosławną katedrę; w zabudowaniach PP. Wizytek na Polskich folwarkach rozgościła się szkoła popówien; kaplica PP. Dominikanek przez szereg lat służyła jako sala balowa klubu oficerskiego.

Zamknięte Katolickie Towarzystwo dobroczynności odżyło dopiero w kilku latach ostatnich; nawet do nauki religii wprowadzono w szkołach miejscowych — mimo oporu Kościoła — język rosyjski.

Wyborowi marszałkowie szlachty powędrowali na wygnanie za podany do cesarza w dniu 19. listopada 1862 r. adres, żądający ukrajowienia

władz miejscowych i administracyjnego zjednoczenia Zachodniego Kraju (Podola, Wołynia, Ukrainy) z Królestwem Polskiem. Stanowiska ich zajęli mianowani urzędnicy-Rossyanie, nie posiadający niezbędnego kontaktu z miejscowem polskiem ziemiaństwem. Z marszałków gubernialnych zapisali się dobitniej dwaj ostatni: Jan Sulatycki i wybrany po tegoż ustąpieniu wskutek zbyt sędziwego wieku — Aleksander Sadowski.

Tekst pamiętnego podolskiego adresu wyszedł z pod pióra znanego poety, Leonarda Sowińskiego, pokutującego zań na wygnaniu w Szczygrach, gdzie w opuszczeniu i osamotnieniu uległ chorobie opilstwa, które złamało jego życie, literaturę polską pozbawiło naprawdę wielkiego talentu. Wrócił do kraju innym człowiekiem; pracował piórem dalej na chleb codzienny, o wzlotach górnych marzyć już nie mógł: brakło mu sił po temu.

Na posiadaczy ziemskich Polaków nałożył rząd kontrybucyę, nie pozwalając równocześnie nabywać im majątków, wymknięcie się więc z polskich rąk każdego szmatu ziemi — a konfiskat i katastrof było sporo — przynosiło w podobnych warunkach coraz to nowe dotkliwe i bolesne straty narodowe.

Ofiarą padło również Podolskie (polskie) Towarzystwo lekarzy i przyrodników, rozwijające piękną działalność pod przewodnictwem przyby-

łego na kresy Krakowianina, dra Aleksandra Kremiera, któremu — jako obcemu poddanemu — kazano do dni kilku opuścić granice cesarstwa. U kolebki pożytecznej instytucji stali — obok niego — dr. Karol Sulima Przyborowski, typowy Litwin, znakomity chirurg, tłumacz historii Roepela na język polski i dr. Antoni Józef Rolle, który podówczas pracował jeszcze przeważnie na niwie naukowej z jego fachem bezpośrednio związanej i dopiero później, obok pracy zawodowej, tak niepoślednie położył zasługi jako dziejopis ziem ukraińnych.

Rozwijał on równocześnie ogromną działalność obywatelską, humanitarną i społeczną, a jako wypróbowany przyjaciel uczącej się młodzieży i opiekun ubogich, zaskarbił sobie w ciągu czterdziestoletniego pobytu w Kamieńcu, który ukochał tak gorąco, szczerą wdzięczność najszerzych kół i szacunek niekłamany u obcych. Dowodem tego stypendyum jego imienia, utworzone przez kolegów-lekarzy, Polaków, Rosyjan i żydów, oraz wmurowany w katedrze pomnik roboty Antoniego Popiela. Umarł 21. stycznia 1894 r., a pogrzeb jego zmienił się w olbrzymią manifestację żałobną. Obok wielu prac lekarskich, pozostawił w puściźnie po sobie dwadzieścia przeszło tomów, poświęconych dziejom uroczego tego zakątka. Z nich zaczerpnęliśmy w przeważnej części materiału do niniejszej gawędy.

Teatr polski subwencyonowany hojnie przez ziemian kresowych, zadowolić mógł — pod wytrawną dyrekcją Piotra Jaksy Bykowskiego — wygórowane nawet wymagania. I on teraz runął, ustępując miejsca rosyjskiemu; słowo polskie i pieśń polska schroniły się do świątyń Pańskich, gdzieindziej miały wstęp ostro wzbroniony.

Początkowo, przed zupełnem uśmierceniem sceny polskiej, polecono dodawać do każdego polskiego spektaklu jednoaktówkę w rosyjskim języku, grywaną zwykle przy pustej zupełnie widowni. Charakterystyczną scenę opowiadali do niedawna najstarsi mieszkańcy Kamieńca:

— Gdzie tak pędzisz? — zagadnął ktoś policyanta.

— Biegnę dać znać panu gubernatorowi, że ruska sztuka już się skończyła.

W słowach tych przebijała się cała anormalność warunków, w które wtłoczono dawną warownię kresową, „wychowaną“ wprost — jeśli się tak w danym wypadku wyrazić można — na polskiej kulturze, żyjącą jeszcze przed pół wiekiem jej tradycjami i coraz słabiej brzmiącymi echami minionych stuleci. Dzisiaj i te słabe odzwieki zanikły najzupełniej, a do narzucenia miastu zewnętrznych cech rosyjskości przyczynili się w dodatku w znacznym stopniu i żydzi, stanowiący olbrzymi procent jego zaludnienia, używając od

roku 1863 w codziennych stosunkach rosyjskiego języka.

W latach konspiracji przemykali się często przez Kamieniec wysłannicy z Warszawy i z zagranicy, którzy odbywali tutaj poufne narady z miejscowemi wybitniejszymi osobistościami. Odwiedzał placówkę kresową generał Edmund Różycki, spacerowała po rynku, w otoczeniu młodzieży, pono nawet w obozowym stroju, dzielna i sympatyczna panna Pustowojtow, przybyła nad Smotrycz w towarzystwie znakomitego artysty-malarza, Michała Elwira Andriollego, który z kolei wyjechać musiał na kilkuletni „wypoczynek“ do Wiatki.

Zmarłego niedawno w Odessie historyka Rusi, Aleksandra Jabłonowskiego przypominają sobie jeszcze sędziwi obywatele kamienieccy, przybranego latem stale w białe żaglowe ubranie, w którego kieszeniach, metrowej zda się głębokości, zwykł był nosić całe archiwum konspiracyjne. Z Kamieńca uwiozła poczta narodowa w przebraniu przezacnego doktora Adryana Baranieckiego, co z czasem miał fundować w Krakowie muzeum swojego imienia, oraz Stefana Buszczyńskiego, krytyka literatury, cieszącego się w pewnych kołach pod Wawelem wielką popularnością i uznaniem. Przez granicę przekradał się również chyłkiem ks. Bakanowski, wychowaniec seminaryum duchownego kamienieckiego, dzisiaj

powszechną czcią i szacunkiem w polskim społeczeństwie otaczany kapłan-jubilat, niestrudzony misjonarz i znakomity kaznodzieja Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, autor świeżo ogłoszonych ciekawych pamiętników.

— Inni, którym nie powiodło się wydostać do Galicyi lub i dalej na emigrację, odpokutowali na wygnaniu swoje rojenia o jaśniejszem jutrze, z licznych jednak tragedyj na plan pierwszy wysunęła się śmierć Maurycego Drużbackiego, właściciela dóbr z pod Kamieńca, rozstrzelanego w fosie twierdzy kijowskiej.

Nie wierzył w pomyślny skutek zbrojnego narodowego ruchu i trzymał się na uboczu od kół konspiracyjnych, skoro mu jednak na jakimś zebraniu ktoś z gorętszych rzucił nieopatrzne słowo, zawołał:

— Dobrze więc, jeśli będzie jaka trudna misya do spełnienia, ja się jej podejmę.

I dotrzymał słowa: polecenie spełnił, lecz przepłacił je życiem, pozostawiając wdowę wraz z drobnymi dziećmi, po konfiskacie majątku, w zupełnej nędzy. Stał się postacią niemal legendarną, podobizny jego znajdziesz w wielu domach, a opis pojmania Drużbackiego i bohaterskiego jego zgonu w coraz to odmiennej komunikują ci formie.

Wdowa po ś. p. Maurycem, kobieta niezwykłego hartu, wypędzona z pod własnej strzechy, nie przyjmując od nikogo żadnego wsparcia, osia-

dła — zanim jej nie zwrócono części majątku — w Kamieńcu, zakłada sklepik korzenny, by w ten sposób pracować na wyżywienie dziatwy; a gdy w wiele lat później zamknęła oczy na sen nieprzespany, miejscowi reprezentanci władzy nie mogli wyjść z zadziwienia, dlaczego na pogrzeb cichej, zapomnianej staruszki zjeżdża, mimo zawiei śnieżnej, tłumnie cała okolica gubernialnego grodu.

Żałoba narodowa, obserwowana ściśle przez panie polskie, stała się powodem wielu drastycznych scen: przed kościołami zdzierała z nich policya bez pardonu czarne suknie, w domach zaś odbywały się bezustanne rewizye, w niektórych, specjalnie „niebezpiecznych“, co dni kilka nieledwie. Równocześnie jakieś zbrodnicze duchy szerzyły dokoła pożogę: co noc niemal paliły się całe kompleksy domów, a choć straż obywatelska dzień i noc pilnie czuwała nad mieniem i spokojem mieszkańców, nie schwytano na gorącym uczynku żadnego z podpalaczy.

W nocy z 29. na 30. czerwca 1862 roku stanęła w ogniu cała zachodnia połać rynku wraz z świeżo odnowioną znacznym sumptem katedrą. O ratunku nawet nie można było myśleć: wschodzące słońce oświeciło nagie, okopcone ściany. Łza zaszkliła w niejednym oku, na rozpacz jednak i zwątpienie zbrakło czasu. Wieczorem, duchowieństwo śpiewało w ogrojcu, wraz z tłumem pobożnych litanie, panie zaś zasiadły w roli kwesta-

rek przy stolikach. Chwila to była „dziwnie osobliwa“, więc i ofiarność popłynęła szeroką strugą, a obok datków w gotówce znalazły się na tacach: pierścionki, obrączki ślubne, kolje, klamry, broszki, naszyjniki, ubogie korale wieśniaczek, srebrne cukiernice, łyżki, stare monety, tabakiery, słowem wszystko, cokolwiek jakąś przedstawiało wartość. Siódmego już grudnia nabożeństwo z powrotem wprowadzono do katedry, jednego tylko nie mogła już zwrócić nawet tak niecodzienna ofiarność, a to spalonego archiwum.

Kobiety polskie złożyły w tych ciężkich latach wiele dowodów poświęcenia i bohaterstwa, męstwa i odwagi. Służba, przedewszystkiem żeńska, służyła wiernie swoim chlebobdawcom, dochowując tajemnicy ognisk rodzinnych, mimo wszelkie podszepty zbyt ciekawych nieproszonych „aniołów stróżów“; żydzi spełniali doskonale misję wywiadowczą, a ta popularnie zwana „poczta pantoflowa“, oddawała niejednokrotnie usługi bynajmniej nie do pogardzenia.

Czar prysnął, ułudę rozwał wiatr stepowy, życie popłynęło dalej, lecz odmiennem już korytem. Przybyło wdów i sierót, padła niejedna fortuna, w ciszy wieczoru, przy zamkniętych szczelnie drzwiach i oknach, załkał płacz niewieści, o zimne mury odnowionej katedry odbiło się niejedno głębokie westchnienie...

Ulice Kamieńca zaroily się napływowym ży-

wiołem w czapkach mundurowych, który stawił się na kresy, by zająć wolne posady po usuniętych raz na zawsze z biur urzędnikach Polakach. Zapomniano o hucznych balach i zjazdach obywatelskich; życie towarzyskie przeniosło się na wieś, do dworów polskich, i tam pilnie śledzone, czy też nie kryje w sobie jakichś zarodków buntowniczych.

Lata ostatnie ery ironicznie chyba konstytucyjną zwanej, przyniosły wprawdzie pewną odmianę warunków bytu, ruszczenie kraju i jego stolicy poczyniło już jednak wciąż minionego pięćdziesięciolecia takie postępy, w narodowym naszym stanie posiadania powstały tak dotkliwe szczyrby, że o powetowaniu poniesionych strat, na razie przynajmniej, marzyć już nie można.

* * *

Dla zaokrąglenia całości wypadnie jeszcze, bodaj najpobieżniej, wspomnieć o ludziach, którzy — obok już wymienionych — albo w Kamieńcu urodzili się, lub też z tym uroczym zakątkiem w ściślejszej pozostawali łączności.

Nie wyliczamy wybitnych mężów, działających nad Smotryczem w epoce, kiedy twierdza kresowa dziejową odgrywała rolę, owych nieustraszonych obrońców „przedmurza chrześcijaństwa“, których długi poczet zamyka nieprzystępny wszelkiej ubocznej myśli, prawdziwy „lew kreso-

wy“, stary komendant Jan Witte, którego pamięć przechowała się w nazwie „ogrodu Witta“; pełnych ofiarności i poświęcenia burmistrzów i tyłu, tyłu innych. Sięgamy jedynie do bliższych nam lat, kiedy to, w zmienionych warunkach, zmieniły się gruntownie i obowiązki, a służbę z bronią u nogi, z ręką na rękojeści szabli wiecznie tkwiącą, z czujnym okiem wpatrzonem w step głuchy, zastąpiła praca obywatelska, naukowa, społeczna lub artystyczna, nie mniejszego od tamtej w ogólnym dorobku narodowym znaczenia.

Sztuka najskromniejsze święciła tu tryumfy: w latach dawniejszych, wobec bezustannej groźby nieproszonych odwiedzin bynajmniej nie oczekiwanych z otwartymi ramionami gości, nie pora było myśleć o malunku czy rzeźbie; później, Kamieniec zubożały, deskami od świata zabity, nie nastęrczał artystom ponętnego pola do popisu. Wprawdzie położenie jego precudowne aż prosiło się do uwiecznienia na płótnie, lecz brakło nabywców owych pejzaży a sam zachwyty nad dziełami sztuki nie mógł zastąpić ich twórcom chleba powszedniego.

Z czasem wyrobili tu sobie pewne imię i zachowanie portreciści: sprowadzony przez Czackiego do Kamieńca Mateusz Baccelli, kolega jego po fachu, głównie znowu na Wołyniu działający, profesor sławnego gimnazjum krzemienieckiego, Józef Pitschman, dalej z miejscowymi rodami spo-

krewnieni: Horodnicki, Łomnicki, Ciszewski i Ignacy Hanicki. Artyści to różnej miary; wszyscy razem pozostawili konterfektów panów, mieszczan i szlachty okolicznej sporo; zwłaszcza Baccelli i Pitschman, ten ostatni przerastający o głowę wszystkich obok niego wymienionych.

Następne pokolenia portretowali — przeważnie już szlachtę — kapitalny niejednokrotnie a zawsze bardzo poprawny Moraczyński i doskonały kopista, Prociński; obok nich figurują jako rysownicy nie bez wartości, Heybowicz i Petruszewicz. Zabytki Kamieńca uwiecznił w szeregu obrazów bardzo wiernie i wdzięcznie Kazimierz Mirecki; w wiele lat później Marya Kazanowska wywołała przecami, na motywach kamienieckich opartymi, prawdziwą sensację w Warszawie, gdzie je w lot rozchwytało, jak coś nowego, odskakującego od szablonu. Michała Sozańskiego akwarelowy widok Kamieńca wisi w Muzeum narodowym w Krakowie. Częstymi gośćmi w murach kresowego grodu bywali Walery Brochocki i Tytus Maleszewski.

Dzieckiem Kamieńca był niezwykle utalentowany Jan Grejm, wychowaniec Akademii petersburskiej i monachijskiej, nagradzany kilkakrotnie medalami srebrnymi i złotymi, suchoty jednak zabrały go zbyt wcześnie, nawet trzydziestki nie dożył. W podolskim dworze ziemiańskim w okolicy Kamieńca, przyszedł natomiast na świat ce-

niony artysta Tadeusz Żukotyński, którego wiele prac znaleźć można w rodzinnych jego stronach. Umarł niedawno w Ameryce, gdzie spędził ostatnich lat dwadzieścia życia. Artysta-kamieniarz, Krakowianin, Zygmunt Stehlik, pozostawił wiele pięknych śladów swej wieloletniej nad Smotryczem działalności w kościołach miejscowych i na cmentarzu katolickim.

W Kamieńcu urodził się również znakomity pianista, nieporównany odtwórca Chopina, Aleksander Michałowski, a Stanisław Mirecki, brat malarza, zasłużył się niepoślednio jako wytrawny pedagog i dyrektor chóru katedralnego.

Literatura i nauka posiadały znaczny zastęp reprezentantów, goszczących czas dłuższy w murach kamienieckich. O wielu z nich wspominaliśmy już na poprzednich kartach niniejszej gawędy. Adam Pług (Antoni Pietkiewicz) podbijał wszystkich zacnością charakteru i przysłowiową niemal dobrocią; Piotr Jaksza Bykowski — humorem i konceptami. Krąży o nim dotychczas po Podolu moc facecyj, jedna lepsza od drugiej. Typowy to Zagłoba, a może — jak chcą inni — Radziwiłł „panie kochanku“. Od wypowiedzenia złośliwego dowcipu nie powstrzymał się również nigdy Aleksander Weryha-Darowski, niezwykle erudyta, talent ogromny, choć mało produktywny, doskonale naśladowający język i styl rozmaitych epok, figlarz, którego falsyfikaty, ogłaszane pod

rozmaitymi pseudonymami „dla rozrywki“, sprawiają bibliografom niemało kłopotu. Wielkiego zażywał miru serdeczny jego przyjaciel Konstanty Podwysocki, zapalony zbieracz rzadkich druków, rękopisów i dzieł sztuki, honorowy kurator gimnazjum kamienieckiego, autor licznych prac, ogłaszanych drukiem w wydawnictwach współczesnych i książkach zbiorowych.

Bardzo ściśle węzły łączą z Kamieńcem od szeregu lat wysoce cenionego ziemianina-historyka, Kazimierza Pułaskiego z Zawadyniec na Podolu i syna jego, wychowanka miejscowego gimnazjum, Franciszka, chlubnie pracującego w warszawskim Towarzystwie przyjaciół nauk, oraz Wołyniaków: Zygmunta Lubę Radzimińskiego, znanego heraldyka-historyka i prof. Jana Marka Giżyckiego, ucznia gimnazjum kamienieckiego, niestrudzonego dziejopisa Zgromadzeń zakonnych i szkół zakonnych na Rusi.

Kamieńczaninem jest profesor Wszechnicy lwowskiej, poważny krytyk literatury i wytrawny pedagog, Józef Henryk Kallenbach; w gimnazjum kamienieckim kształcił się także adwokat i niepośledni poeta, siostrzeniec Dra Antoniego J., Stanisław Wierzbicki.

Z ziemian podolskich, często bardzo przemieszkujących w Kamieńcu, przygodnie imali się pióra: powszechną czią do śmierci otaczany Władysław Górski, jedna z najsympatyczniejszych po-

staci kresowych ubiegłego stulecia, i Andrzej Leszczyć Grabianka, odgrywający wybitną rolę w Komitecie uwłaszczenia włościan. Siostrzeńcem pierwszego z nich był zmarły w ubiegłym roku ks. Jan Beyzym T. J., który w latach dzieciństwa swego często i długo gościł u wuja w Śledziach i wraz z nim odwiedzał nie jeden raz Kamieniec. Zostawszy kapłanem, w inną stronę świata skierował swą zbożną działalność, dążąc na znój i trud między trędowatych na Madagaskar, gdzie też był za świętego niemal uważany przez męczenników, którym ofiarował siebie niepodzielnie.

Na zakończenie podnieść należy, że lwowska „Macierz polska“ zawdzięcza przedewszystkiem powstanie swoje proboszczowi kamienieckiemu, dziwakowi i odludkowi, ks. Kazimierzowi Hulaniczkiemu, który gromadzony latami całemi grosz zapisał na rzecz dobra publicznego. Dzięki zabiegom ks. Jana Sawickiego, proboszcza z sąsiedniego Żwańca, oraz zacnego i światłego ziemianina, Bohdana Żebrowskiego z Rudy, piękny zapis obrócony został na utworzenie „Macierzy“.

* * *

Wciągu dziewiętnastego stulecia — obok mniej ciekawych cerkwi i typowych gmachów rządowych, pozbawionych cienia stylu i estetyki, uzyskał Kamieniec imponującą budowlę, tak zwany „Nowy most“, wsparty na olbrzymich ciosowych

filarach, łączący stary gród z przeciwległym wzgórzem, na którym rozrasta się z rokiem każdym nowe miasto (nowy plan).

Rzędy domów wysuwają się coraz głębiej w głuchy dawniej step, szerokim ulicom ponadawano prawdziwie rosyjskie nazwy.

Godne widzenia są również bulwary: stary i nowy, ostatni zwłaszcza zakrojony na wielką skalę.

Na Nowym planie wznosi się miniaturowa cerkiewka pod wezwaniem Aleksandra Newskiego, oraz przed kilkunastu laty fundowany kościół protestancki.

Katedra rzymsko-katolicka znajduje się w fazie gruntownej fachowej restauracyi, dzięki zabiegom i funduszom byłego swego proboszcza, syna zamożnych ziemian kresowych, księdza Jana Mańkowskiego.

* * *

Na tem wypadałoby zamknąć przydługą może gawędę, lecz trudno powstrzymać się przed wezwaniem do zwiedzania uroczego zakątka nad Smotryczem. Kornel Ujejski zapłakał, ujrawszy w prześliczny słoneczny dzień lipcowy rzucony na stromej skale zamek kamieniecki; Jan Kasprowicz nie znalazł słów na oddanie olbrzymiego wrażenia na widok czcigodnego przebrzmiałych stuleci świadka; Tadeusz Korzon skrupulatnie a z nie-

kłamany zachwytem badał jego zabytki; Włodzimierz Spasowicz co kilka lat spadał nad Smotrycz, by odnowić wspomnienia, które złocą szarą jesień życia...

Może ta wycieczka rzemiennym dyszlem po przez dzieje zapomnianej dziś najniesłuszniej, przesławnej twierdzy kresowej, zachęci młodzież naszą do spędzenia letnich wyczasów u wschodniej niegdyś ściany Rzeczypospolitej.

Taki był przedewszystkiem cel skreślenia niniejszej ramoty.

Młodzież zapalna rozniesie zachwyt swój po Polsce całej; jej kult miłości kraju rodzinnego przebijie zwały obojętności na piękno bliskich nam stron; linie kolei podolskich zaroją się turystami, spieszącymi za Zbrucz po nowe wrażenia, po szeroki, pełny oddech na stepach ukraińskich.

Kamieniec nie sprawi zawodu! Skoro się doń zbliżamy w letni dzień słoneczny, wzgórza tonące w powodzi światła, zdumiewa nawet przybysza, nawykłego do oglądania rzeczy prawdziwie pięknych. Staje on oniemiały, nie mogąc wyrzec słowa, a wzrok jego wchłania precudowną panoramę.

W noc księżycową przybierają te stare, szare mury, z imponującą bramą Batorego, z romantyczną Ruską bramką, basztami i mostami, wieżycami kościołów i cerkwi, domami uczeplionymi formalnie do stromych skał zboczy, bajkowe wprost

kszałty. To jakaś fantazyja z tysiąca i jednej nocy, czarowna poezya. Przed wzrokiem naszym przesuwają się wizye z górnej przeszłości: zapominamy o szarzyźnie bezbarwnego dzisiaj, pochłonięci bodaj na chwilę jedną tem, co ongi rozbrzmiewało po wszystkich zakątkach Litwy i Kory.

W pochmurny, mglisty dzień zimowy pejzaż ogromnie smutny, innego rodzaju uczuciem napełnia nasze serca: przygnębia niemiłosiernie, przygniata ramiona jakimś niezmiernym ciężarem, ale skoro tylko litościwe słońce przepoi kryształ i stalaktyty lodowe snopem promieni, nowe czary otwierają się przed nami: Kamieniec staje w szacie królewskiej, utkanej brylantami, lśniący gwiazd myriadem.

A z wiosną! Kiedy jego mury pokryje kołbiercem drobne żółte kwiecie, złocista dalmatyka osłania rozsypujące się w gruzy szczątki starej warowni...

Zaprawdę — Kamieniec nie sprawi zawodu nikomu!

W październiku 1913 r.

